Dziś w numerze: T. WOJCIECHOWSKA **Opera na zamówienie** ● K. BADZIAK **Mój Zelów** ● B. MADEJ **Póki jest miłość** ● T. TELMA **Trudne lata** ● **Tkalnie bez pyłu** ● **Rozmowa z W. Rymkiewiczem** ● **Kolumna debiutów** ● **Gdy człowiek spotyka człowieka**

odgłosu

10 (592)
9. III. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

Słaba płeć piękna płeć...

Jak wiadomo ludzkość dzieli się na dwie połowy: piękną i brzydszą, przy czym nie są to równe połowy, albowiem piękna jest liczniejsza. W naszym kraju przewaga liczebna kobiet wynosiła w 1967 roku 899 tysięcy. Piękna płeć zwana również płcią słabą została już tak gruntownie przeanalizowana przez statystyków, przenicowana przez socjologów, że nie przedstawia żadnej tajemnicy dla świata. Wiemy ile czasu poświęca na pracę zawodową, ile swego wolnego czasu przeznaczonego na wypoczynek oddaje dzieciom, ile czasu przewidzianego na sen przeznacza na zajęcia gospodarskie, domowe. Czasem tylko, jako jednostka indywidualna stanowi absolutną tajemnicę dla swego męża, ale to już zupełnie inna sprawa.

Słaba płeć — jak one to wszystko wytrzymują zapracowane zabiegane zafrasowane zakupami, wywiadówkami w szkole, dziesiątkami codziennych kłopotów?

Piękna płeć — jak one to robią, że na dodatek potrafią być jeszcze ładne, schludne, atrakcyjne i pociągające?

Na zastanowienie się nad tymi sprawami ma ludzkość tylko jeden dzień w roku — ósmy marca Dzień Kobiet. Dzień, w którym obie połowy rodu ludzkiego czują się zdecydowanie zażenowane. I ta składająca życzenia, robiąca raz w roku to co powinna robić znacznie częściej i ta przyjmująca życzenia nie przyzwyczajona jakoś do odświętnej roli solenizantki. Na szczęście 8 marca składa się też tylko z 24 godzin i potem wszystko wraca do normalnego życia.

Jak to zapewne czytelnicy będą mogli zauważyć kobiety w naszej redakcji dla uczczenia Dnia Kobiet zostały zobligowane do napisania czegoś na swój temat, ponieważ mężczyźni nie chcieli się tym zająć tłumacząc że i tak w domu będą mieli dosyć zajęcia. A co może w takiej sytuacji kobieta? Może porozmawiać z drugą kobietą, która najlepiej ją zrozumie. Nasz wybór padł na panią *MIROSŁAWĘ WĄSOWICZOWĄ*, jak mało kto orientującą się w tej materii: żona, matka, działaczka Ligi Kobiet, od trzech lat przewodnicząca Rady Kobiet wreszcie dyrektor naczelny Łódzkich Zakładów Obuwia i Wyrobów Gumowych, zakładów, które zatrudniają 60 procent kobiet.

— *Czy zdaniem Pani Dyrektor sytuacja kobiety łódzkiej jest na tle sytuacji krajowej w jakimś sensie specyficzna?*

— Sama Łódź jest o tyle specyficzna, że stanowi centrum przemysłu lekkiego, zatrudniającego największą liczbę kobiet. Na przykład przemysł odzieżowy — 74,3 procent kobiet, przemysł włókienniczy — 63,6 procent i tak dalej. Stąd największy w Łodzi procent kobiet zatrudnionych w przemyśle. A przecież są to przeważnie żony i matki obarczone kłopotami, których

Dalszy ciąg na str.

KRZYSZTOF POGORZELEC

CZAS INŻYNIERA

Wobec ośmiu milionów osób zatrudnionych w całej naszej gospodarce — stanowią niewielki odsetek. Ciśnie się jednak pewne porównanie z owym garnkiem zupy, która dopiero po dodaniu przysłowiowej szczypty soli czy pieprzu staje się smakowitą potrawą. Co ma pieprz do... inżynierów? Dokładniej do CZASU INŻYNIERÓW?

GUS STWIERDZA

Wszystko już obliczono, przemielono w matematycznych maszynach, które bez zająknięcia stwierdzają w języku liczb, że... jest nieźle.

No więc co, a raczej ile ustaliły mądre maszyny Głównego Urzędu Statystycznego.

W porównaniu z rokiem 1938 liczba inżynierów pracujących w Polsce wzrosła z 17 tysięcy do 111 w roku 1964, a w roku ubiegłym było już ich około 120 tysięcy.

Nie ma co mówić — porównanie efektowne, tak samo jak wynik mający bezpośredni związek z rozwojem wyższych uczelni w naszym kraju po roku 1945. Chcemy być dokładni więc jeszcze dodajemy: przed rokiem 1939 dysponowaliśmy 35 tysiącami techników, gdy obecnie jest ich około 230 tysięcy.

No więc ładnie. Ale czy wszystko jest w porządku? Niby wszystko jest na przysłowiowy medal, nawet ze złota. Spece od badań i zestawień podają bowiem jeszcze — znowu patrząc na zaczarowany pryzmat liczb — że biorąc pod uwagę poziom naszej gospodarki, u nas pracuje proporcjonalnie tyle samo inżynierów oraz techników, ile np. w tak rozwiniętych krajach jak Wielka Brytania czy Francja.

Dalszy ciąg na str. 9

ŚWIATA

W ub. tygodniu kończyłem komentarz wizytą min. S. Jędrychowskiego w Czechosłowacji. W krótkim odstępie czasu polski minister spraw zagranicznych odbył drugą, niezmiernie ważną politycznie podróż do ZSRR. W czasie swej wizyty u wschodniego sąsiada min. Jędrychowski prowadził rozmowy z wszystkimi czołowymi osobistościami Związku Radzieckiego, a ich tematem — prócz wszechstronnie rozpatrywanego stanu stosunków politycznych, ekonomicznych i kulturalnych między PRL i ZSRR — była także sytuacja międzynarodowa. Szczególną uwagę — rzecz zrozumiała — poświęcono problemowi bezpieczeństwa europejskiego. Potwierdzając gotowość realizowania propozycji, zawartych w dokumentach spotkania bukareszteńskiego z 1966 roku i narady europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Karlovych Varach w 1967 roku — podkreślono niebezpieczeństwo, jakie niesie zachodnioniemiecka polityka. Kolejnym przejawem odwetowych zamierzeń Bonn jest decyzja przeprowadzenia wyborów prezydenckich poza terytorium NRF — w Berlinie zachodnim.

Obie strony wyraziły zadowolenie z faktu, że w Paryżu toczą się rozmowy w sprawie politycznego uregulowania konfliktu wietnamskiego, stwierdzając, iż pomyślne jego zakończenie może być osiągnięte na podstawie propozycji DRW i NFW.

Rozpatrywano również sytuację na Bliskim Wschodzie, charakteryzującą się dążeniem Izraela do utrwalenia wyników agresji z 1967 roku, a więc okupacją części terytoriów arabskich oraz odmową wykonania uchwały Rady Bezpieczeństwa. Polska i Związek Radziecki raz jeszcze potwierdziły swą pomoc dla krajów arabskich oraz gotowość politycznego rozwiązania kryzysu.

Komunikat o moskiewskich rozmowach stwierdza, że będzie kontynuowane poszukiwanie dróg pokojowego rozwiązania wszystkich spornych problemów międzynarodowych — przy współpracy tych wszystkich państw, którym „drogi jest pokój i bezpieczeństwo w Europie i na świecie".

Znaczenie moskiewskiej wizyty S. Jędrychowskiego, drugiej po Czechosłowacji, w roli ministra spraw zagranicznych, podkreśla obecna sytuacja międzynarodowa oraz fakt, że na przeciwległym krańcu Europy w tym samym czasie prez. Nixon prowadził rozmowy z kierownictwami pięciu państw — członkami paktu atlantyckiego. Tej właśnie europejskiej podróży nowego prezydenta USA chcemy poświęcić w kolejności nieco uwagi.

Rezultaty swych rozmów Nixon oceni 6 bm. na konferencji prasowej w Waszyngtonie. Będzie interesujące, jak w ocenie tej rozłoży akcenty, co powie poza ogólnymi formułami o zrozumieniu wspólnych celów, serdeczności rozmów itp. Cel podróży przed opuszczeniem kontynentu amerykańskiego Nixon określił w słowach: „Poszukuję dróg, które powinny zaprowadzić nas do takiej sytuacji, w której stosunki istniejące pomiędzy Ameryką i Europą pozostawałyby w całkowitej harmonii z duchem dzisiejszych czasów". Praktycznie zaś chodziło mu głównie o scementowanie atlantyckiej wspólnoty. Jeśli tak rozumieć sens pośpiesznego wyjazdu do Europy zachodniej — można (w momencie kiedy piszę te słowa, a więc jeszcze przed zakończeniem serii wizyt) powiedzieć, że zamierzeń nie osiągnął.

Nixon zastał przecież zachodnią Europę poważnie skłóconą, głównie na linii Londyn — Paryż. Miarą tego skłócenia może być, iż wbrew przekonaniu o takcie, spokoju i rozwadze Brytyjczyków w dyplomacji, pogwałcili oni tradycyjne zasady i ujawnili bez uprzedzenia rozmowy gen. de Gaulle'a z brytyjskim ambasadorem w Paryżu na temat nowych sugestii w sprawie EWG. Nie bez powodu „Times" pisał więc w komentarzu redakcyjnym, że Nixon „odwiedził zachodnią Europę w momencie najgorszym ze wszystkich, jakie można było wybrać".

W Brukseli, Londynie, Bonn i Rzymie prezydent Stanów Zjednoczonych znalazł w zasadzie „grzecznych" i podatnych rozmówców. Był jednak w miarę wstrzemięźliwy. W Bonn na przykład, a także w swym publicznym zachodnioberlińskim wystąpieniu, zachował umiar, dając pierwszeństwo nie konkretom, lecz elementom deklaratywnym. Wprawiło to w wyraźne zakłopotanie zachodnioniemieckich komentatorów, którzy nie mogli z tej wizyty wydobyć nic innego, niż tylko ogólne poparcie USA dla bońskich koncepcji i przejawy solidarności.

Znacznie trudniejsze natomiast zadanie miał Nixon w Paryżu. W tym wypadku komunikat, stwierdzający wymianę serdeczności i zbieżność poglądów, nie powinien nikogo mylić. Lista rzeczywistych zbieżności jest bardzo ograniczona i poza nią znajdują się takie zasadnicze kwestie, jak: NATO, Europa, Bliski Wschód, a nawet odprężenie w stosunkach Wschód — Zachód.

Jest rzeczą charakterystyczną, że Nixon, który kilkakrotnie zapowiadał, iż jego europejska wizyta będzie miała zdecydowanie roboczy charakter, w toku jej trwania w zasadzie odszedł od tej koncepcji. Po prostu łatwiejsze okazało się nadanie jej bardziej paradnego charakteru.

W bilansie swej europejskiej eskapady Nixon nie będzie mógł pominąć antyamerykańskich demonstracji, jakie towarzyszyły mu niemal we wszystkich punktach docelowych.

Wreszcie we wstępnej ocenie pobytu Nixona na europejskim kontynencie nie można nie zauważyć jeszcze jednego istotnego momentu — podkreślania przez niego potrzeby dyskusji z ZSRR. Prasa amerykańska wydobyła to na czoło, zaznaczając, iż obietnice składane przez prezydenta USA prowadzenia konsultacji z europejskimi sojusznikami Stanów Zjednoczonych nie powinny stać się źródłem opóźnień i komplikacji w amerykańsko-radzieckim dialogu. **W. SŁAWSKI**

KONRAD FREJDLICH

Indeks wspomnień

Wyższe szkolnictwo w Łodzi ma już za sobą blisko ćwierćwiecze istnienia. Tak, to oczywiście niewiele w porównaniu z tak zasiedziałym ośrodkiem akademickim jak Kraków, ale przecież dwadzieścia pięć lat to także niemało. To w każdym razie dość, by powspominać; aby przenieść na papier to wszystko, co pisane wzruszeniami serca złożyłoby się na jakiś czą stkowy choćby obraz Łodzi studenckiej, na sagę kolejnych roczników absolwentów uniwerku i politechniki, akademii medycznej i szkół artystycznych.

Takiej książki jeszcze nie ma, czeka dopiero na napisanie. Czekają na rekonstrukcję heroiczne dni startu pierwszych wyższych uczelni w Łodzi i entuzjazm pokolenia, które zdobywało świadectwo dojrzałości na polach bitewnych Europy a potem karabin zamieniło na książkę. Tamte miesiące ambicji i nadziei obrastają już legendą, istnieją gdzieś na peryferiach pamięci, bo nasza codzienność niesie inne doznania i wzruszenia. A przecież warto wejrzeć w zakurzone półki archiwów, przypomnieć odrapane hale kinoteatrów przemienione gwałtownie w sale wykładowe, oddać upór tych nocy bezdomnych w jakimś przypadkowym kącie, który musiał zastąpić „akademik". Wtedy nie czekało się na dekret. Zanim jeszcze uczelnie uzyskały status prawny, najwybitniejsi naukowcy Polski, pozbawieni przez wojnę swych warsztatów pracy, ściągali do Łodzi, aby w jej gościnnych murach organizować życie kulturalne, nieść wiedzę znów potrzebną w latach najtrudniejszych: odbudowy kraju.

Nauka, która jak żołnierz-wyzwoliciel weszła do tego miasta proklamując nową rzeczywistość społeczną, pozostała już tutaj na trwałe. Powszechny dostęp do wiedzy — czyż nie jest to jedno z najpiękniejszych haseł, jakie już nie tylko na sztandarach, ale wprost do ludzi przyniosła rewolucja socjalistyczna w naszym kraju? Z perspektywy ćwierćwiecza, gdy dumni naszym dzisiejszym stanem posiadania rzadko wracamy pamięcią w tamte wielkie, a tak przecież trudne lata, wydaje nam się to oczywiste i dosyć banalne. A jednak, kiedy się zagłębić w proces zrastania wyższych uczelni z miastem, nauki z pracą, znajdziemy w nim wydarzenia prawdziwie dramatyczne, na miarę przełomu dwóch różnych epok, z których ta lepsza, sprawiedliwsza, człowiecza zdobywając sobie większość z nas, zdobyła nas wszystkich.

Nasze oceny zweryfikowane są przez kontekst współczesności. To co odeszło, co mimo tak stosunkowo niedługiego upływu lat jest już historią, choćby nawet żywą historią, domaga się przypomnienia. Myślę tu o uczonych, którzy kładli podwaliny pod autorytet nauki w mieście tak bardzo fabrycznym, że nawet wyobraźnia poetów nie umiała wznieść się ponad kominy. Myślę tu o tych gorączkowych pracach organizatorskich, wyszukiwaniu pomieszczeń na laboratoria i zakłady naukowe, gdy wykładowcy i studenci wspólnie przynosili i ustawiali sprzęt stanowiący ubożuchne wtedy, ale jakże ważne wyposażenie pierwszych katedr. Myślę tu także o gorącej temperaturze życia politycznego, sporach światopoglądowych i ideowych jakimi, bez względu na wiek, pasjonowano się na wyższych uczelniach Łodzi w tamtych latach powszechnej próby, kiedy socjalizm sprawdzał się w ludziach i w kraju, zanim nastąpiła ich tożsamość.

Doprawdy, tutaj każda sfera działania godna jest rzetelnego i uczciwego kronikarza, wszystkie przejawy akademickiego życia w Łodzi zasługują na choćby skromną wzmiankę. Któż może dać im lepsze, prawdziwsze świadectwo niż ci wszyscy, co właśnie tutaj zdobywając wiedzę w murach wyższych uczelni, dopisali do swych studenckich indeksów doświadczenie pracy politycznej, kulturalnej, społecznej? Jakże dziś patrzą na swoją działalność w organizacjach młodzieżowych? Jakże dziś, starsi o tyle doświadczeń, widzą swoje próby na scenach studenckich teatrów i kabaretów? Jakże oni wszyscy, nierzadko inteligenci w pierwszym pokoleniu, oceniają swoje kontakty z załogami fabryk, swoje wyjazdy w teren, w głęboką Polskę?

Są to doświadczenia, które nie zamykają się na jednym tylko pokoleniu, chociaż każdy rocznik studentów zdobywał je na pewno w inny sposób. I wcale to nie znaczy, że im bliżej naszych lat, tym łatwiejsze są te drogi zdobywania wiedzy i życiowego startu, bo nieustannie rosną nasze ambicje i wymagania. Warto je wszak że porównać, wyważyć proporcje, skonfrontować — od zarania wyższych uczelni w Łodzi aż po dzień dzisiejszy.

Profesor Tadeusz Kotarbiński podczas jakiejś uroczystości uniwersyteckiej stwierdził żartobliwie, że „Uniwersytet Łódzki jest okrętem nie dawno na wody spuszczonym, ale załogę tego okrętu stanowi zespół marynarzy, którzy wiele lat strawili nie na próżno w swoim rzemiośle, zaprawieni w trudzie na innych okrętach, a pośród tej załogi nie brak prawdziwych wilków morskich."

Można te słowa odnieść z powodzeniem do wszystkich wyższych uczelni w Łodzi. Można je, myślę, odnieść tak że do tych, którzy z indeksem odbywali tym okrętem podróż po oceanie wiedzy, ale w życiu dawno przestali być pasażerami.

A przecież tej podróży nie wolno zapomnieć.

* * *

Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich w Łodzi oraz redakcja tygodnika „Odgłosy" w ramach obchodów XX-lecia PRL ogłaszają pod nazwą:

INDEKS WSPOMNIEŃ

konkurs na wspomnienie, szkic biograficzny, pamiętnik

poświęcone historii i życiu akademickiej Łodzi.

Do udziału w nim zapraszamy wykładowców, absolwentów oraz studentów łódzkich wyższych uczelni.

Objętość i forma wypowiedzi dowolna. Za najwartościowsze pod względem poznawczym prace przyznane zostaną następujące nagrody w dwóch odrębnych grupach:

W grupie A (dla wykładowców i absolwentów):

Nagroda I 10.000 zł
Nagroda II 7.000 zł
Nagroda III 5.000 zł

W grupie B (dla studentów):

Nagroda I 5.000 zł
Nagroda II 3.000 zł
Nagroda III 2.000 zł

Organizatorzy zastrzegają sobie jednak prawo innego podziału nagród przez jury.

Prace konkursowe opatrzone godłem z dołączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów" w Łodzi, ul. Piotrkowska 96 do dnia 1 października br. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone do dn. 15 listopada rb.

Najlepsze prace publikowane będą za zgodą autorów na łamach tygodnika „Odgłosy". Organizatorzy przewidują również wydanie zbioru najciekawszych prac w formie książkowej w Wydawnictwie Łódzkim.

Prosimy jednocześnie o nadsyłanie prac konkursowych w czytelnych rękopisach. Maszynopisy mile widziane.

Skład jury oraz lista fundatorów nagród podane zostaną w terminie późniejszym.

Już w najbliższym numerze „Odgłosów"

- **DLA MIŁOŚNIKÓW LITERATURY** — „Wizyta u Jarosława Iwaszkiewicza"
- **DLA MIŁOŚNIKÓW PODRÓŻY** — „Algieria w jesiennym słońcu" Romana Łobody
- **DLA MIŁOŚNIKÓW PIŁKI NOŻNEJ** — „Cesarskie cięcie konieczne" Zbigniewa Skibickiego
- **DLA MIŁOŚNIKÓW WIELKIEJ PRZYGODY** — „Skok do junackiej dzielnicy" Andrzeja Makowieckiego

LISTY DO REDAKCJI

PANIE WIDOKI

Moje pisanie nie będzie rzeczą specjalnie konstruowaną, aby było ładnie. To są refleksje na temat ostatniego Pana występu w „Odgłosach", który mnie zirytował.

Swoim artykulikiem umieścił się Pan w „serialu" „Odgłosów" dotyczącym młodzieży (szczególnie studentów). Wiadomo, każde pismo stara się być ciekawe i zamieszczać niepowtarzalne „bomby" na swoich łamach.

Tak, weszła w życie generacja, która nie wie co to wojna i nędza. Czy to źle? Bo i tak można by interpretować Pańskie (i innych żale). Zresztą chyba pozna, bo jak Panu wiadomo, dorośli świata bardzo się o to starają, szczególnie ostatnio.

Co do braku ideałów w młodym pokoleniu: dla porównania tylko pytanie — czy dorośli je mają? Młodzież nie sama wymyśliła sobie, żeby ich nie mieć. Widocznie z kogoś bierze przykład... Na ten brak, na tzw. „rozpuszczenie" można znaleźć inne wytłumaczenie: po prostu młodzież „kupuje" sobie to wszystko za 10 złotych w kinie albo czyta, albo ogląda w telewizji — w rodzaju „Baronów". Dlaczego więc kupuje się takie rzeczy, dlaczego się je produkuje? Przecież jest tylu specjalistów w CWF. Są to refleksje raczej naiwne. Tak jak naiwnym jest np. sposób zwalczania alkoholizmu w naszym kraju, a ludzie i tak piją.

Proszę Pana Widoka, co do tych dorosłych to jasne, że nie wszyscy są tacy. Sama znam piękne przykłady, że tak nie jest. Są tylko złe wyjątki, tylko dlaczego jest ich tak dużo? A wtedy to już nie są wyjątki, lecz pewne zjawisko społeczne, które nie sama młodzież tworzy. Ona je zastaje gotowe i w nie wchodzi, bo to jej imponuje. Ale i młodzież nie jest taka „rozpuszczona". Też są wyjątki. I też szkoda, że jest ich dość dużo. A właśnie o taki znak równania mi chodziło. Aby nie gadać o sprzecznościach pokoleń, czy jak się to tam nazywa. Według mnie jest tu fajna zgodność. Sam Pan chyba się ze mną zgodzi. I proszę o tym pamiętać, gdy znów Pan zacznie o „tej" młodzieży. Takie, jak Pana, pisanie jest od pewnego czasu bardzo modne. I tu Pana rozumiem — jako felietonistę — oczywiście. A swoją drogą to rzecz jest znacznie głębsza i nie wolno pisać o młodzieży w trzeciej osobie. Pisze się w ten sposób i o całym społeczeństwie. Pamięta Pan powiedzonko z „Rewizora" Gogola. „Z kogo się śmiejecie?.." Tylko trochę je Pan strawestuje i pasuje jak ulał do artykułu...

Z poważaniem
ZOFIA PEJZAŻ

KAROL BADZIAK

Mój Zelów

1.

Zelów nie jest zwykłym miastem, przynajmniej dla mnie. Do tego miasteczka często wracam, znam je na pamięć, jest bliskie mojemu sercu. Urodziłem się tutaj i to jest moja mała ojczyzna. Kiedy przyjeżdżam, na ulicach spotykam krewnych, na cmentarzu odwiedzam przodków. Chroni ich granitowy anioł pod szklanymi skrzydłami śmierci. Wśród karłowatych lasów marny krajobraz piaszczystej ziemi. Jak garść kamieni rozrzucone parterowe domki, okolone sztachetami drewnianych płotów, spotykają się na pustym rynku. Przed laty stał tam pomnik Naczelnika i studnia zwana pompą.

Upłynęło niemal trzydzieści lat od tego momentu, gdy Niemcy roztrzaskali cokół pomnika Tadeusza Kościuszki, a pamięć o tym wydarzeniu pozostała wśród mieszkańców Zelowa nadal żywa. Hitlerowcy zanim wzięli się za ludzi, burzyli symbole. Zniszczyli pomnik, postawili szubienicę. Też symbol. Kiedy przed paroma dniami przyjechałem do Zelowa, każdy mój napotkany przyjaciel czy znajomy na stereotypowe pytanie „co nowego?" odpowiadał: „Pomnik Kościuszki odbudowujemy".

2.

Od czarnego boru idzie zima, przed gospodą czeka sznur taksówek, w powietrzu unosi się ostry zapach benzyny i słodki zapach siana. Dziś dzień targowy. Gospodarze w gospodzie biesiadują, później kładą się na wóz, a koń sam zna drogę do domu. Szoferzy taksówek klną siarczyście w taki jarmarczny dzień i w ogóle jest prześmiesznie i ludowo. Nadchodzi zmierzch. Wszystko cichnie i zasypia. A na wymarłe ulice wychodzą dziewczęta — smutne siostry prowincjonalnych wieczorów. Dziewczęta trzymając się pod ręce, zwierzają sobie troski i małe radości, potem zziębnięte wracają do domu. Na telewizję. I już po prowincji, zniknęła pod czarodziejskim działaniem szklanego ekranu. Telewizja wymiotła również z rogów rynku małomiasteczkowych chojraków, zabija nudę i marazm prowincjonalnych wieczorów. Ale rozpala równocześnie pragnienie najrychlejszej ucieczki do wielkiego miasta. Oczywiście ucieczki w trybie awansu społecznego, a nie w trybie degradacji.

Przygniatająca większość maturzystów tutejszego liceum składa egzaminy na studia. Tych miasteczko może spisać na straty, urzeka ich wielkomiejski blask i z reguły już nie wracają do Zelowa. Tak jak i ja, najwyżej myślami. Może kiedyś, kiedy się doszczętnie wypalą zaczną wracać. Na emeryturę.

3.

Ludzie w Zelowie mówią długo, dużo i nieskładnie. Nie są to dla mnie sprawy egzotyczne Mówią o swej pracy i zarobkach, nadziejach i rozczarowaniach, troskach i sukcesach. Łatwo dać mata prowincji. Łatwo tam mieszkać, ale nie żyć. Czas płynie wolno, spokojnie, życie wydaje się długie i pogodne. Przyjezdnemu.

Czasem wstrząśnie miasteczkiem jakieś większe wydarzenie. Miejscowa drużyna piłki nożnej wygra ze Zduńską Wolą, przyjedzie krewny z Ameryki lub inspektor PIH z powiatu, ktoś się zabije na motorze, ktoś się urodzi, ktoś umrze. Wtedy wszyscy orzekną zgodnie „na śmierć umarł". Bo umiera się również „na wódkę". W tym miejscu pod pióro wciska się alkohol i krajobraz zelowski zaczyna niebezpiecznie kołysać.

4.

Zelów nie jest zwykłym miastem. Przynajmniej dla mnie Znam tu każdy kamień, każdy dom, każdego człowieka. Jak ci ludzie przywiązani są do swego miasteczka. Jeśli przejdą tylko ów młodzieńczy kryzys, potem już traktorem ich stąd nie ruszysz. To już nie jest lokalny patriotyzm, to jest coś więcej. Są dumni z każdego nowego domu, z każdego sklepu, z nowej szkoły, z każdego skwerku, z każdego 100-metrowego odcinka nowej nawierzchni, z budującego się już od paru dobrych lat nowego kina, z drogi żelaznej, która miała połączyć miasteczko z dalekim światem lecz w rzeczywistości stoi, a raczej leży bezużyteczna. Dla zaspokojenia partykularnych aspiracji parę milionów złotych poszło w piach.

Przed paru laty, na skutek natrętnych starań miejscowych „czynników", wybudowano tory kolejowe, po których od czasu do czasu przejedzie pociąg-widmo, to znaczy koślawa lokomotywa plus jeden wagon, góra dwa. Tymczasem faktycznie potrzebnej przędzalni Zelów się jakoś doczekać nie może, a przecież istnieje na tym terenie pokaźna nadwyżka siły roboczej, istnieją tradycje włókiennicze, dobre tradycje.

Mieszkali bowiem tutaj niegdyś tkacze zwani z niemiecka webrami. Znają oni wartość bawełny i z każdej surowej paczki przędzy potrafią wyprodukować materiał. Domowym sposobem. Jeszcze dziś. Wprawdzie drewniane krosna spróchniały już na strychach, ale przecież nie wszystkie.

5.

Tkacze — była to najbiedniejsza warstwa robotników, najbardziej wyzyskiwana. Mieszkali w małych, drewnianych domkach z ogródkami; wyglądało to nawet malowniczo, jeśli nędza może mieć w ogóle urok. Domki ich były jednorodzinne i specjalnie dostosowane do charakteru pracy webra. Przechodząc ulicą słyszało się w całej okolicy charakterystyczny klekot drewnianych krosien, których siłę napędową stanowiły nogi rękodzielników. Ażeby dorobić się takiego domku trzeba było pracować 15—20 lat. Weber zarabiał przed wojną tygodniowo około 20 złotych, a jego żona zwijaczka 10 złotych. Pracowali oboje od świtu do nocy przy naftowej lampie. Ludzie ci łatwo zapadali na gruźlicę.

6.

Przemysł chałupniczy wyrządził tkaczom zelowskim duże szkody pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym, uniemożliwił oświatę, wciągając od najmłodszych lat do pracy dzieci. Niszczył życie rodzinne, rujnował zdrowie ludzi, którzy pracowali w izbie, gdzie się jednocześnie gotowało, jadło, prało, spało, chorowało, rodziło i umierało.

Walka chałupników z wyzyskiem była o wiele trudniejsza niż robotników w fabrykach. Wyzysk był natomiast o wiele ostrzejszy, gdyż między nakładcą, a chałupnikami pojawił się pośrednik tzw. liwarant. Najczęściej byli to liwaranci Poznańskiego z Łodzi lub Kruschego i Endera z Pabianic. Tkacz nie troszczył się o surowiec i kapitał. Wystarczyło mieć krosno, a przędzę do wyrobu otrzymywał od nakładcy lub liwaranta.

Ponieważ w chałupnictwie strajk jako metoda walki przeważnie zawodził (choć próby były i nawet udane, w Zelowie zresztą strajki organizowano wcześniej niż w Łodzi i w Warszawie, o czym wie niewielu historyków) tkacze zelowscy znaleźli dość osobliwe wyjście z sytuacji. Istniała między nimi tajna umowa polegająca na tym, że wszyscy obowiązani byli zabierać dla siebie jednakową ilość przędzy od sztuki wyprodukowanego materiału. Każdy nowy tkacz bywał wtajemniczony w ten proceder i musiał się podporządkować reszcie. W ten sposób przez dziesiątki lat okradano nakładców, nie zdarzyło się, żeby ktoś zdradził współtowarzyszy.

Jednocześnie zwijaczki, które otrzymywały przędzę i mąkę do krochmalenia również ustaliły między sobą jaki procent tych produktów będą sobie przywłaszczać. Nakładcy z czasem zaczęli dolewać do mąki naftę, ażeby uczynić ją niezdatną do konsumpcji. Ale i na to znalazła się rada. Skażoną mąkę kupował od kobiet handlarz, który z kolei po tańszej cenie odprzedawał ją znów nakładcom.

7.

Po pierwszej wojnie światowej chałupnictwo przeżywało swój okres prosperity. Było aż tak dobrze, że w krótkim czasie powstało na terenie Zelowa kilkanaście małych fabryczek i kilka dużych fabryk, które całkowicie chałupnictwu zagroziły. Od tego czasu zaczęła dominować produkcja przemysłowa, lecz tradycje chałupnictwa przetrwały i utrzymują się po dzień dzisiejszy. Oczywiście, w zmienionej formie i na innych zasadach. Zniknęło krosno drewniane, pojawiło się mechaniczne. Na taką inwestycję stać było tylko bogatszych chałupników, biedniejsi przeszli do zakładów przemysłowych. Dziś od tego co się dzieje w zakładach, od wykonania planów, od wielkości zarobków uzależniona jest egzystencja 70 proc. ludności Zelowa. Obecnie robotnicy fabryczni nadają ton, charakter i oblicze życiu miasta.

8.

Zelów nie jest zwykłym miastem.W 1802 roku niejaki Piotr de Korwin Zelin, człowiek w świecie bywały i życie znający od podszewki, przybył w te okolice i cały obszar dzisiejszego miasteczka zakupił za łączną sumę 25.666 talarów W ślad za nim ściągnęło tu 149 osób z Taboru i Czeremina.

W ten sposób potomkowie pokonanych w bitwie pod Białą Górą zwolenników Jana Husa, którzy zmuszeni byli opuścić Czechy i udać się pod opiekę elektora brandenburskiego znaleźli się potem w Zelowie. Z każdym rokiem nowe zastępy przychodźców napływają w te strony, trzebią lasy i zakładają nowe osady: Ignaców, Faustynów, Józefatów, Pożdżenice i Zelówek.

Ciągły napływ przychodźców jak i przyrost naturalny powodował coraz większą parcelację małych działek ziemi. W dodatku gleba spod świeżo wyciętych lasów była jałowa i dostarczała żywności zaledwie na sześć miesięcy w roku.

Koloniści czescy zaczęli uprawiać len i wkrótce zasłynęli jako najlepsi płóciennicy, budząc swymi doskonałymi wyrobami podziw okolicznych chłopów. Tkali płótna różnych odmian: cienkie — białe na bieliznę, płótna stołowe w wymyślne szlaki i desenie oraz grube — żółte, z których sami sobie szyli wierzchnią odzież. Znali również trwały sposób farbowania przędzwa.

Następnie na pastwiskach i nieużytkach pojawiły się stada owiec. Hodowla jednak szybko upadła i wełnę zaczęli sprowadzać bezpośrednio z Anglii. Później wełnę całkowicie niemal wyparła bawełna i tkactwo zelowskie dotychczas autonomiczne ekonomicznie zaczęło się coraz bardziej uzależniać od rosnącego w siłę przemysłu łódzkiego.

Długotrwałe zastoje (1845—1850, 1876—1877, 1914—1919) i nędza wyganiały zelowskich rolników-tkaczy do Łodzi, Żyrardowa, do Warszawy, a nawet Chersonia i na Syberię.

Przed pierwszą wojną światową na terenie carskiego imperium było kilka takich skupisk, które swój początek brały w Zelowie. Ruchliwość i przedsiębiorczość jest stałą cechą zelowskiej ludności.

Potomkowie husytów do dziś dnia zachowali swe obyczaje i tradycje, język, wiarę i narodowość Aż do roku 1870 nie udało się przeniknąć do Zelowa żadnemu innowiercy. W 1945 roku zaczęli masowo emigrować do starej i niezbyt znanej ojczyzny. Z kilkunastu tysięcy pozostało w Zelowie obecnie zaledwie około 700 osób.

Wojowniczych i dumnych potomków buntowniczego Husa cechuje oszczędność, gospodarność i pracowitość Jego twórczy niepokój i negacje w ciągłym poszukiwaniu nowych bogów doprowadzili do absurdu i stworzyli w Zelowie istną wyznaniową Wieżę Babel.

Czyż nie miałem racji twierdząc przez cały czas, iż Zelów nie jest zwykłym miastem. Oczywiście nie dla mnie.

Fot. P. Barącz

PANIE REDAKTORZE!

Z wieku i urzędu należę do grupy tych właśnie, o których Pan pisał. I wie Pan co? Podpisuję się oburącz! Pan się na pewno dziwi, że nastolatka i tak dalej... A może Pan myśli, że jestem starą babunią i tylko nabieram? Zapewniam uroczyście, że mam te swoje — naście i chociaż już niedługo przejdę na — dzieścia, na razie nie mogę się powstrzymać, żeby nie ucałować Pana (w przenośni, niestety...) w oba policzki. I w czoło też. Obyśmy zawsze mieli takich moralizatorów!

Bo to jest kokieteria, nic innego, tylko właśnie kokieteria. I żeby jeszcze kokietowano wszystkich! Gdzie tam. Tylko w teorii. Bo w praktyce jest sporo osób, którym nie są potrzebne do szczęścia kluby, extra domy towarowe ani nawet specjalne programy w radio i telewizji. Jeszcze rok, dwa, trzy — i nastolatkowie staną się ludźmi zupełnie dorosłymi. Czy więc nie lepiej od razu próbować uczestniczyć w tym d o r o s ł y m życiu.

Zresztą jeśli mam być szczera, to co Pan nazywa kokietowaniem, nazwałabym raczej systematycznym i programowym ogłupianiem pewnej części (nie powiem: wszystkich) nastoletnich. Pokazuje się nam głupstewka, jakieś błyskotki nie wiadomo przez kogo wyprodukowane i żąda się, abyśmy się nimi obwieszali w imię mody dla nastolatków! Bo w Anglii noszą, bo Francja się tym zachwyca a o Stanach. już nie ma co mówić. Szał-ciał i ogólny entuzjazm. A ja się pytam — po co? Anonimowi panowie i panie wymyślają dla nas specjalnie mody, lansują koraliki, łańcuszki, breloczki, dewizki, świecące zakrętki od wiecznych piór jako medaliony itp. W telewizji pokazuje się nam programy „młodzieżowe". owszem, nie powiem, nieraz starannie i ciekawie opracowane — ale z góry obliczone na efekt. Bo młodzieży to się będzie podobać! Więc nie to, co ciekawe, ale to, co można ciekawie pokazać. Płycizna, płycizna i snobizm.

A snobizm na młodzież jest ogromny. Tak jak kiedyś nasi dziadkowie ubiegali się o papiery szlacheckie lub tytuły — nasi ojcowie chcą za wszelką cenę być uznanymi autorytetami od spraw młodzieży, czyli — przyjacielami młodzieży.

Część młodzieży czuje się dorosła! Po prostu dorosła w młody sposób. Więc po co specjalne domy towarowe, skoro wystarczą nam zwykłe sukienki bez ozdóbek i świecidełek? Fasony — najnormalniejsze pod słońcem. Skrócić spódnicę na mini przecież nie jest trudno. No bo pomyślcie. Zbudujecie specjalny dom towarowy z dajmy na to „wystrzałową" garderobą typu choinkowego czyli z metalowymi, plastykowymi, drewnianymi i skórzanymi dodatkami, nazwiecie go „Junior" i każecie tam się ubrać całej młodzieży.

Pan przynajmniej zaznaczył, że kokietuje się te „10 tysięcy wałkoni". Ale niech pan spojrzy gdzie indziej. Początkowo, u zarania tak zwanej akcji młodzieżowej jeszcze zaznaczano, że jest kilka grup młodzieży i że w żadnym wypadku nie można jednej z nich nazywać całą młodzieżą. Jednak później to się sprzykrzyło. Mówi się: „Młodzież pije, pali, nie pracuje. Znaczny wzrost zachorowań na choroby weneryczne wśród młodzieży. Młodzież całe dnie spędza w kawiarniach, nie ma celów, nie ma ideałów". Koniec, kropka A swoją drogą, ciekawe, kto w takim razie uczy się w szkołach średnich, na uniwersytetach, kto działa społecznie? Też młodzież? Wyważam po raz — enty otwarte drzwi z tym pisaniem o rodzajach młodzieży, ale to wyszło mi zupełnie przypadkowo. Chciałam tylko napisać Panu, że ma Pan rację, rację, rację i kłócić się będę z każdym, kto powie, że nie.

I jeszcze w jednym ma Pan rację. Lepiej zbudować dodatkowy klub dla rencistów. Młodzież będzie się bawić sama, nawet gdybyście na głowie stanęli, aby siedziała cicho, ale ludziom starszym warto pomóc.

Zresztą — a może my, czyli młodzież, zawitamy do takich klubów dla rencistów „za trzydzieści parę lat, jak dobrze pójdzie?"... czyli jak wyłysiejemy, sprawimy sobie sztuczne szczęki i zaczniemy krytykować nastolatków?

Kończąc — artykuł dla mnie bomba. Całuję Pana, a jeżeli Pan się gorszy aż tak spontanicznym podziwem — pozdrawiam serdecznie, ale już bez całowania. Trudno, młodzież musi się umieć przystosować do starszych, a nie tylko starsi do młodzieży!

Studiująca Ada

DZIEŁO PROF. ŁEMPICKIEGO

W końcu roku 1968 ukazała się w Gottingen, już po raz drugi w nowym wydaniu, książka prof. Zygmunta Łempickiego pt. „Historia niemieckiego literaturoznawstwa do końca 18 stulecia". Autor, znany polski germanista, pisujący po polsku i niemiecku, żył w latach 1886—1943. Co za ironia historii, Zygmunt Łempicki zginął w obozie oświęcimskim z ręki tych, których język i literaturę znał głęboko i poświęcił jej całe swoje życie.

Obecnie z okazji ukazania się w Gottingen książki prof. Łempickiego, na łamach „Neue Zurcher Zeitung" (z 9. II. 69 r.) zamieszczono recenzję pióra Klausa Weimera. Autor recenzji stwierdza, że chociaż Łempicki napisał swoją rzecz przed laty, nie utraciła ona nic ze swego znaczenia. Recenzent kończy swoje wywody słowami: „Jest to niezwykle bogate kompendium teorii literatury i badań nad literaturą od średniowiecza do końca osiemnastego wieku".

POLSKA W „INOSTRANNOJ LITIERATURE"

„Inostrannaja Litieratura", ukazujący się w Moskwie miesięcznik literacko-społeczny poświęcony w całości wydarzeniom artystycznym na świecie, często publikuje materiały polskie. W ubiegłym roku za pośrednictwem tego czasopisma czytelnicy radzieccy poznali sztukę telewizyjną Jerzego Krasickiego „Rocznica ślubu", opowiadanie Jerzego Stawińskiego „Godzina szczytu" oraz wiersze Elżbiety Zechenter „Z pierwszej książki". w dziale publicystycznym zamieszczono reportaż Andrzeja Brychta z cyklu „Mój Wietnam". Z innych poloników na uwagę zasługuje szkic I. Swirydy pt. „Polski plakat".

Rok bieżący zapowiada się dla materiałów polskich w „Inostrannoj Litierature" równie pomyślnie. Już w styczniowym numerze tego miesięcznika znajdujemy pierwszą część powieści Juliana Kawalca „Tańczący jastrząb" w przekładzie A. Mielnikowa. Redakcja zapowiada druk dalszego ciągu utworu. Jednocześnie opublikowano obszerną notę biograficzną, w której zaprezentowano dotychczasowy dorobek popularnego polskiego pisarza.

DROBIAZGI

W 2 numerze „Inostrannoj Litieratury" pomieszczono informacje o telewizyjnym „Orderze Uśmiechu", który miłośnicy Jacka i Agatki przyznali pierwszym czternastu laureatom (wśród wyróżnionych znalazł się autor „Czterech pancernych" Janusz Przymanowski).

W związku z jubileuszem 50-lecia „Książki i Wiedzy" miesięcznik przedstawia zasługi tego wydawnictwa dla polskiej kultury zwłaszcza w dziedzinie literatury społeczno-politycznej i marksistowskiej, informuje też o nowych edycjach, które już niedługo trafią na półki księgarskie.

K.F.

Płonica

Słaba płeć piękna płeć...

Dalszy ciąg ze str. 1

wystarczyłoby na wypełnienie dnia bez pracy zawodowej.

— Co jest Pani zdaniem największą bolączką tych kobiet?

— Komunikacja, handel, usługi. Połączenie: dom-zakład pracy stale jeszcze stanowi problem zwłaszcza, że ludzie otrzymują mieszkania w nowych dzielnicach, często bardzo odległych od miejsca pracy, z którym są mocno powiązani. W tej sytuacji przejazdy nierzadko pochłaniają zbyt wiele czasu

Druga istotna sprawa to handel i usługi. Niestety, nasz ciągle jeszcze zbyt mało sprawny handel hołduje zasadzie czekania na klienta, podczas gdy w całym świecie handel wychodzi do konsumenta. Poprzez zakładowego socjologa staraliśmy się wysondować opinię kobiet jakie zakupy sprawiają im najwięcej kłopotu. I — rzecz interesująca — okazało się, że najuciążliwszy jest zakup rzeczy tak drobnych, a podstawowych jak włoszczyzna na zupę czy inne warzywa. To brzmi aż śmiesznie, a jednak jest prawdą. Sklepy warzywne są na ogół małe, zawsze przepełnione, w dodatku nie najlepiej zaopatrzone, dostawy nierytmiczne, a towar często nieświeży. Dlatego jestem zwolenniczką sprzedaży straganowej warzyw, która rozładowuje tłok w sklepach i jest bardzo wygodna, bo szybka.

— Wiem, że stara się Pani, w miarę możności ułatwić życie pracownicom swoich zakładów. Jakich posunięć dokonała Pani w tym celu?

— Jednym z nich, właśnie po owym socjologicznym sondażu. była prośba do dzielnicowego wydziału handlu o uruchomienie kiosku z warzywami w pobliżu fabryki. Kiosk ten otwarto na Dzień Kobiet w ubiegłym roku, był czynny jakiś czas, ale potem sprzedawcy „przestało się opłacać" i kiosk został zlikwidowany. Nie mam zamiaru ustąpić, na razie słyszę jednak, że jest za zimno na wznowienie sprzedaży warzyw. Poczekam aż się ociepli.

Kobiety pracujące w naszej fabryce są w specjalnie trudnej sytuacji, bo tu w okolicy Wólczańskiej i Czerwonej nie ma sklepów prawie wcale, choć jest duże skupisko fabryk zatrudniających w sumie ogromną ilość osób. Dlatego sprzedaż straganowa czy w kioskach byłaby najlepszym rozwiązaniem. W ubiegłym roku, na naszą prośbę wprowadzono sprzedaż ryb przed zakładami. Niestety, to po jakimś czasie również przestało się opłacać. W rezultacie opłaca się tylko prywatnemu sprzedawcy jabłek, któremu wcale nie jest za zimno.

1 marca zaczynamy realizację inicjatywy „Expressu" — sprzedaży na zamówienie. Polega ona na tym, że nasze kobiety będą rano składać zamówienia na zakupy, a podejmować paczki przy zakończeniu pracy. Zamówienia te będzie przyjmował sklep PSS znajdujący się w pobliżu fabryki. Przyszłość pokaże czy ta próba zda praktyczny egzamin.

— Czy Pani zdaniem płeć piękna ma czas na to, aby być piękną?

— Chyba nie za wiele. Ale ma za to chęci. Widać to po naszym gabinecie kosmetycznym, który istnieje na terenie zakładów od trzech lat. Od dwóch lat mamy też fryzjera.

— Czy męska część załogi nie sprzeciwiała się takim inwestycjom?

— Byli i tacy, którzy się krzywili. Ale dziś oni przemykają się do gabinetu na kwarcówkę.

— A Pani ile razy korzystała z gabinetu lub fryzjera?

— Szczerze mówiąc ani razu, po prostu nie mam na to czasu w godzinach pracy.

— Czy według opinii Pani kobiety pracują gorzej niż mężczyźni?

— Na pewno nie gorzej, a często nawet więcej. Zwłaszcza jeśli kobieta znajdzie się na stanowisku wyższym, tradycyjnie zajmowanym przez mężczyzn, musi pracować więcej niż mężczyzna, a na dodatek musi być pogodna, uśmiechnięta, zawsze miła, zawsze dobrze ubrana. Inaczej, przy najmniejszym potknięciu, usłyszy: "Oczywiście, bo to baba". Jest nieustannie obserwowana, krytykowana.

— Pani wypowiedź można traktować tu jako autorytatywną. Czy uważa Pani, że zrobiła w życiu karierę?

— W takim sensie jak mogą to myśleć inni — na pewno nie. Kierownicze stanowisko to ciężka praca i odpowiedzialność. A w ogóle — co to jest kariera? U nas chyba raczej należałoby użyć słowa szczęście i to jest prostsze do określenia. Moim zdaniem jest to satysfakcja w życiu osobistym i zawodowym, a oba te elementy są bardzo ważne. W życiu zawodowym to umiejętność pogodzenia kwalifikacji ze stanowiskiem zawodowym, a także — co niemniej ważne — praca w lubianym zawodzie. Ja na przykład nie wyobrażam sobie życia bez pracy „w gumie", z którą jestem związana od wielu lat. No i druga strona życia kobiety — życie osobiste. Dom, rodzina, zrozumienie w małżeństwie, dzieci, choćby w pewnym stopniu spełniające pokładane w nich nadzieje.

— I jeszcze jedno pytanie. Jak Pani zdaniem powinno wyglądać święto kobiet?

— Myślę, że w tym dniu większy nacisk powinien być położony na wypoczynek „solenizantek". Bo oczywiście miło jest przyjmować życzenia, dobre słowa, uśmiechy, to bardzo ważne. Ale na pewno kobiety w tym dniu chętnie by odpoczęły.

— No cóż, rola solenizantów jest zawsze dość trudna. Nie pozostaje nam więc nic innego jak złożyć sobie życzenia, a czego to już my najlepiej same wiemy.

Rozmawiała:
W.T.

EUGENIUSZ IWANICKI

ODWAŻNI naszu kiwani

Ten reportaż dedykuję wszystkim, którzy o wilgotnym świcie brną przez zabłocone i nieme uliczki w stronę nieruchomych świateł prowincjonalnych dworców. Cienkimi strumieniami polnych ścieżek wlewają się na zaspane perony walcząc z resztkami snu. Znają swoje wąskie i chłodne perony, do których przybijają. Dedykuję ten reportaż tym, dla których pociąg stał się cząstką ich samych, pejzażem, bez którego nie mogą się obejść, koniecznością, ich kilkunastominutowym miejscem odpoczynku.

I

Pytam młodziutką konduktorkę, która nie chce mi podać nazwiska, na jakich trasach nie lubi jeździć. Odpowiada: wszędzie są łobuzy, ale najwięcej na trasie kutnowskiej. Tam są całe watahy pijanych chuliganów, przed którymi trudno się obronić. Zaczepiają, proponują różne nieprzyzwoite rzeczy, czasem ubliżają.

Konduktorka jest jeszcze młoda, jeździ niedawno. Na tej trasie kursują jeszcze pociągi parowe. Zanim pomkną jednostki elektryczne musimy trochę poczekać. Praktycznie konduktor może przejść z wagonu do wagonu w czasie postoju pociągu. Konduktor-ryzykant może próbować w biegu tej niebezpiecznej sztuczki, ale ryzykantów jest mało. Młodzież wie o tym. Młodzież lekceważy konduktora, bo dla niej spacer wzdłuż wagonów i przeskakiwanie ze stopnia na stopień w czasie jazdy jest rzeczą dziecinnie łatwą. A trasa jest długa, monotonna, nudna. Nie wystarcza palenie papierosów, nie zadowala przesyłanie wiązanek słownych, nie daje satysfakcji zwyczajna kłótnia z pasażerami. Tu trzeba czegoś więcej, czegoś nowego, trzeba się rozerwać, rozweselić, zabawić. Chłopaki w szkło! Lecą szyby, trzaskają drzwi, chyboczą wyrywane ramy jeszcze raz co to Romek ręce masz z ciasta czy co patrz tak się robi nic nie bój walczego się pani drzesz patrzcie ją Polaka milicją straszy taka jej zakazana morda ty się mała też nie wtrącaj bo to mi wszystko wisi a kryminał dzisiaj wychowuje nie te czasy paniusiu więc kolanem ech durniu czym tłuczesz chcesz juchę puścić a teraz spacer na świeże powietrze rozweselić tych w drugim wagonie...

W aktach Komendy Oddziałowej SOK w Łodzi zanotowano, że w roku ubiegłym na trasie Łódź Kaliska — Kutno w dniu 14 kwietnia ub. r. wybito 14 szyb, w dniu 25 kwietnia 5 szyb. Chuligani niszczą niemal wszystko: zdzierają firanki, tłuką lustra, żarówki, klosze, termometry, stoliki, odkręcają śruby, gałki w wagonach I klasy, łamią uchwyty, klamki, tną lub zabierają całe kanapy. Straty z tytułu zniszczeń przez podróżnych w roku ubiegłym wynosiły 109 tys. złotych.

II

W zatłoczonych przedziałach trwa hazard. Migają brudne ręce, rozdające zatłuszczone karty. Zamiast stołu — teczka, zamiast krupiera — zazwyczaj najstarszy lub właściciel talii. Gra idzie ostro, bo trasa krótka. Więc daj kartę teraz sobie ile w banku fura niepotrzebnie brałeś tego dupka a niby skąd mam wiedzieć co idzie zawsze mogę liczyć że dojdzie coś do dwunastu tobie bracie grać w świnię a nie w męską grę daj teraz Józkowi ostrożny cholera no bierz cwaniak patrz jest już trzy stówy możesz ryzykować a jak przerżnę pies cię trącał nie chcesz to nie właściwie należy ci się w mordę no te cwaniak ja też potrafię dołożyć chłopy co się szarpiecie o te głupie trzy stówy puść Krzysiek mówię ci puść bo cię rodzona matka nie pozna ludzie co robicie leć Helenka po konduktora panowie rozdzielcie ich przecież tu są dzieci...

Z akt Komendy Oddziałowej SOK w Łodzi wynika, że w roku ubiegłym funkcjonariusze komendy interweniowali w sprawach utrzymania porządku na liniach kolejowych w 9.109 przypadkach. Jak wskazuje statystyka rok bieżący zapowiada się wzmożoną aktywnością chuliganów. Już w styczniu zanotowano 576 interwencji o charakterze porządkowym, co w stosunku do analogicznego okresu z roku 1968 jest o 100 przypadków więcej.

III

Na dworcach kolejowych wielkiej Łodzi stoją kioski z piwem. Zapewnie nikt nie zadał sobie trudu by obliczyć ile hektolitrów tego napoju wypijają podróżni. Za jedyne trzy czterdzieści świat stanie się weselszy. Butelki są małe, dosłownie kilka dobrych łyków. Można je wypić pomiędzy jednym pociągiem a drugim, można zabrać ze sobą do przedziału. Piwo pobudza. Butelka, dwie i można w biegu wyrzucić konduktora. Po paru butelkach można dać w mordę inteligenciakowi czytającemu gazetę, który zwrócił nam uwagę, że palimy w przedziale dla niepalących.

WŁADYSŁAW HUZIK

Tkalnie bez pyłu

Tkalnia. Przeraźliwy hałas, łoskot czółenek, ogłuszający zgrzyt krosien i wibrowanie motorów. I kurz, szary pył unoszący się z tkanin — oblepiający ubrania tkaczy, wciskający się w płuca, zwieszający się wstęgami ze ścian i sufitu.

Dwie plagi zakładów włókienniczych. hałas i pył — wyniszczające ludzi i maszyny. Trudno sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej.

Tkacze w białych fartuchach ?... Toż to by była rewolucja, tkalnia przecież nie ma nic wspólnego z laboratorium.

A jednak. Właśnie w białych fartuchach pracuje się w niedawno uruchomionym oddziale krosien hydraulicznych, w Północno-Łódzkich Zakładach Przemysłu Jedwabniczego. Wyeliminowano tu zupełnie pył i w znacznym stopniu hałas. Gdyby nie fakt, iż w hali pracuje jeszcze kilkadziesiąt krosien starego typu — słychać byłoby tylko łagodny szum wody.

Dopiero teraz widać, jaka może być tkalnia. Stojąc pośród krosien hydraulicznych, można spokojnie rozmawiać, słyszy się własne kroki. Oddalone o kilkanaście metrów krosna tradycyjne, spowite są jakby w brunatną płachtę łoskotu.

PO CO KOMU CZÓŁENKO?

Zasadnicza zmiana konstrukcyjna — która pociągnęła za sobą szereg innych — polega na zastąpieniu tradycyjnego czółenka strumieniem wody. Wypychana pod ciśnieniem, przenosi błyskawicznie, cieniutką nitkę wątku.

Tkactwo jest zawodem, który wiele jeszcze ma wspólnego z rzemiosłem, z niego wyrosło. Każde krosno pracuje trochę inaczej, nie da się tu zastosować jakiegoś jednolitego schematu. Stąd ogromna waga praktyki. Dobrym tkaczem, czy majstrem tkackim zostaje się po wielu latach. Majstrowie na tkalni tradycyjnej chodzą umorusani smarami po łokcie, aby odkręcić jakiś tryb, walą dziesięciokilogramowymi młotami, używają łomów i ogromnych kluczy.

Inaczej tutaj. Do regulacji mechanizmów tych niewielkich, estetycznych maszyn, wystarczy komplet kluczy i śrubokrętów, niewiele większy niż komplet do paznokci. Obsługują krosna hydrauliczne młodzi chłopcy i dziewczęta, dopiero od września absolwenci Technikum Włókienniczego. Troje z nich już zostało majstrami, Barbara Witońska, 19-letnia dziewczyna, jest pierwszą kobietą-mistrzem w tego typu zakładzie.

DZIESIĘĆ MILIONÓW NA DZIEWCZYNĘ

Prasa przy krosnach hydraulicznych jest lżejsza, wymaga jednak większej koncentracji i umiejętności fachowych. Osiąga się przy tym trzykrotnie co najmniej, większą wydajność.

Krosna tradycyjne wykonują 125—150 obrotów na minutę; hydrauliczne 390—470. Produkcja z jednego krosna dawnego wynosi na dobę (przy gęstości 4 tys. wątków (metr) ok. 40 metrów tkaniny; z krosna hydraulicznego spływa w tym czasie sztuka materiału długości 120 m.

Znaczną część czasu tkacza pochłania ciągła wymiana w czółenkach tzw. cewki wątkowej, tutaj wątek nawinięty jest na dużej szpuli, zakłada się także dłuższe osnowy. Krosna hydrauliczne są mniejsze, nie wymagają tak wielkich przejść — stąd korzystniejsze wykorzystanie powierzchni hali.

Krosien tradycyjnych w Łódz. Zakł. Przem. Jedw. wysoko kwalifikowany tkacz obsługuje maksimum 6 do 8; na nowym oddziale dziewczęta pracują już w tej chwili na 16 krosnach, wkrótce ta ilość wzrośnie do 22. Wartość narzędzi pracy jednej dziewczyny, przekroczy wtedy dziesięć milionów złotych!

W Łodzi pracuje w tej chwili 220 krosien hydraulicznych, cały oddział — jedyny w Polsce i jeden z nielicznych na świecie tego typu. Ilość ich wzrośnie w najbliższym czasie do 310, już przygotowuje się instalacje, a docelowo nawet do ok 1100. Łódzkie zakłady staną się wtedy największym tego rodzaju kombinatem włókienniczym na świecie, o ogromnym potencjale produkcyjnym. Wielcy przemysłowcy Anglii, czy Belgii, kupują od Czechosłowacji (producenta krosien hydraulicznych) po kilkadziesiąt najwyżej maszyn; obliczają czas ich eksploatacji na 5 lat, zarabiają ogromne pieniądze i zwijają interes. Na inwestycję tak ogromną stać tylko państwo socjalistyczne ze scentralizowanym kapitałem. O jej rozmiarach świadczyć mogą dwie liczby: podczas, gdy krosno tradycyjne kosztuje około 25 tys. zł, krosno hydrauliczne ok. ćwierć miliona! Mamy szczęście, że możemy płacić południowym sąsiadom w złotówkach, lub rozliczać się w inny sposób.

STRUMIEŃ SUKNA JAK — RZEKA...

Czy to się opłaca? Pomnóżmy 120 m dzienną produkcję krosna, przez 1000, a to przez 30 dni miesiąca 3.600 km tkaniny to prawie trzy razy tyle, co długość Wisły. Trzy Wisły co miesiąc — to mówi samo za siebie. Wyprodukowaną w ciągu roku wstęgą materiału można by ziemię opasać w równiku. Taka będzie produkcja jednej tylko tkalni!

Kłopot jedynie w tym, czy wystarczy... surowca. W osnowie używa się, jak dotąd, tzw. włókien syntetycznych (nylon, stylon i ostatnio produkowany w Toruniu na licencji angielskiej torlen), technologii produkcji na włóknach sztucznych (wiskoza, miedziankowe) jeszcze nie opanowano. Przędza krajowa jest czasem złej jakości (w mojej obecności wycofano już z maszyn partię przędzy z Chodakowa), musimy ją importować za dewizy.

Jeśli uda się rozwiązać wszystkie trudności — zarzucimy rynki światowe prawdziwym potokiem wysokogatunkowego materiału. Tkalnia hydrauliczna nastawiona jest na produkcję masową, tanią (tkaniny płaszczowe, sukienkowe i tzw parasolkowe), w dużych seriach. Wykończalnie z tych podstawowych materiałów robią prawdziwe cuda. I tu kryje się sens głębszy funkcjonowania takiego kombinatu w państwie socjalistycznym: dostarczenie na rynek tanich, estetycznych ubrań w dowolnej ilości.

Producentem krosien hydraulicznych są zakłady „tkalczewskich stawów" w Tiniste nad Orlicą, współpraca załogi łódzkiego przedsiębiorstwa z kolegami czeskimi rozpoczęła się już przed 5 laty, kiedy to sprowadzono pierwsze, prototypowe krosno. Pracowała na nim wtedy p. Alfreda Nowakowska, obecna instruktorka młodych tkaczek.

Później do Czechosłowacji wyjechała grupa „młodzieżowców", młodzi majstrowie M. Szymański i Cz. Ciszewski uczyli się od Czechów obsługi maszyn, funkcjonowania i naprawy poszczególnych urządzeń. Po powrocie do Polski montowali w macierzystym zakładzie pierwszą partię 10 krosien.

Obecnie przebywa w Polsce grupa monterów czeskich pod kierownictwem Karela Kromana, która montuje krosna i przekazuje swoje doświadczenia polskim kolegom. Wszyscy zgodnie twierdzą, że współpraca ta bardzo jest korzystna dla obu stron i układa się wspaniale. Nawiązano z Czechami stosunki prawdziwie przyjacielskie; większość Łodzian doskonale rozumie już po czesku, Czesi po polsku mówią, jakby się tu urodzili (tak się w każdym razie wydaje pracownikom łódzkich ZPJ, mnie trzeba było ich słowa tłumaczyć).

WIĘCEJ NIŻ AUTOMATY

Rozmawiałem w Łodzi z inż. Ladislawem Matolszkiem, jednym z głównych konstruktorów krosna hydraulicznego, który stanowisko dyrektora swoich zakładów objął przed paru laty w drodze konkursu.

On także bardzo jest zadowolony z tej współpracy, zaprzyjaźnił się z młodym kierownikiem tkalni, inż. M. Choszowskim. Co ważniejsze, spodziewa się, iż korzyści z niej — i dla zakładów, które reprezentuje i dla Polaków — będą w przyszłości ogromne.

Tkalnia łódzka jest drugim co do wielkości zespołem krosien hydraulicznych na świecie (500 maszyn pracuje w ZSRR), możliwość obserwacji ich pracy, zapoznanie się dokładniejsze z technologią i organizacją produkcji, ma dla inż. Matolszka wielkie znaczenie. Właśnie w Łodzi utwierdził się, że konieczne będzie ulepszenie tzw. urządzenia perlinkowego, do wyżymania mokrej tkaniny, oraz regulatorów osnowy. Zmiany te zakładali już w biurze konstrukcyjnym, ale teraz wie na pewno, że droga, którą kroczyli, była słuszna. Uległ nie też zmianie konstrukcja kilku innych urządzeń — w taki sposób oczywiście, by można je wmontować na miejsce starych.

W USA — mówi inż. Matolszek — jeden robotnik obsługuje 100 krosien automatycznych, zapewnia to im przewagę nad naszymi możliwościami produkcyjnymi. Zamierzamy więc tak udoskonalić nasze krosna oraz organizację pracy, by jeden robotnik mógł pracować przy 35 maszynach. Przy założeniu, że krosno hydrauliczne jest trzykrotnie więcej wydajne, niż mechaniczne (a wskaźnik ten stale wzrasta) dorównamy im całkowicie, przewyższymy nawet — bez konieczności wprowadzenia automatyzacji. Doświadczenia Łódzkich Zakł. Przem. Jedwabniczego ogromnie nas do tego celu przybliżają...

* * *

Mówimy: struktura przemysłu łódzkiego musi ulec zmianie... gruntowna modernizacja przemysłu lekkiego... Mówimy: radykalna przebudowa miasta... inwestycje towarzyszące... poprawa warunków bytowania i pracy... I to znaczy: kobiety o mniej szarych twarzach, nie wychodzące z pracy tak nieludzko zmęczone.

I to znaczy również — tkalnie bez pyłu, tkacze w białych fartuchach... Toż to jest rewolucja!

Fot. A. Wach

Piszący te słowa za zwrócenie uwagi pewnemu kudłatemu młodzianowi na to, że pociąg jest własnością społeczną i w żadnym wypadku nie należy rozbijać drzwi, o mało nie został wyrzucony w czasie jazdy pomiędzy Dobroniem a Kolumną.

Po piwie rodzi się odwaga, rozsadza brawura, pojawia się chęć imponowania bliźnim. Więc najpierw gdzieś w mieście parę setek czystej, potem na peronie zabija się kilkoma piwkami narastające pragnienie i już rosną skrzydła! Jak Polska długa i szeroka rosną nam browarowi bohaterzy.

Jak podaje statystyka Komendy Oddziałowej SOK w Łodzi w roku ubiegłym 35 osób poniosło śmierć pod kołami pociągów, a 32 osoby odniosły poważne obrażenia. Ale to nie są pełne dane, gdyż wiele wypadków wymyka się spod kontroli Służby Ochrony Kolei, wiele nie trafia do akt. Przyczyną wypadków z reguły był alkohol.

IV

Jeżdżą na różnych trasach: Kutno, Łowicz, Koluszki, Zduńska Wola. Tworzą barwne i hałaśliwe grupy okupujące całe przedziały i pomosty. Witają się znudzonym i konwencjonalnym gestem: siemaszi. Demonstracyjnie palą papierosy plując z namaszczeniem na podłogę. Nosza długie, potargane fryzury i wymyślne uniformy z błyszczącymi guzikami. Są brudni, niedomyci, cuchnący. Szkolne tarcze chowają w kieszeniach, a wytarte teczki rzucają na stos, obok rozsuwanych drzwi, a nuż która wyleci! Ich rozmowy dotyczą spraw z ich światka, prymitywnie proste a zarazem przerażające. Mówią o Ziutku, który w Grotnikach wybił zęby jakiejś Luśce, bo, taka jej mać, nie chciała dać Ziutkowi. A z nim nie ma żartów: zajedzie pod żebro i wąchaj kwiatki od spodu. Pamiętacie chłopaki roz róbę w Kolumnie jasny gwint szurała konduktorka no trzymaj się frajerze czego się boisz więc bykiem ją jeszcze raz mówię wam frajda na cały skład a teraz kopa w brzuch ej Mietek dźgnij papierosem w oko niech pamięta kto jeszcze może by tak przez drzwi daj spokój Jurek dostała za swoje i innym opowie jak biją na tej trasie a wy co stchórzyliście ech mięczaki taka wasza zafajdana mać do wódy toście gieroje a jak co do czego to do kibla właszisz gnoju jeden więc masz znaj pana i kłaniaj się z daleka a teraz chodu bo będzie chryla nie nie pozna spójrz na te oczęta fioletowe uważaj mała bo zapomnisz jak słoneczko wygląda z nami nie wygrasz mówię ci uczciwie i my nie z tych co drygają przed byle łajzą jak chcesz to możemy dołożyć Mietek ma kopa no i co że płacze, a kto zaczął kto pierwszy zaszurał...

W dniu 15 marca ub r. na trasie pomiędzy Kolumną a Dobroniem została pobita i skopana konduktorka za to, że zażądała okazania jej biletu.

18 września na trasie Zduńska Wola — Sieradz trzej chuligani w czasie „oblewania" pobili konduktora, a interweniującego kierownika pociągu usiłowali wyrzucić na peron.

24 września na trasie Rokiciny — Baby rozwydrzony młodzik rzucił się na konduktora i dotkliwie go pobił.

27 października przed wjazdem pociągu na stację w Domaniewicach pewien początkujący bandyta pobił konduktorkę, a następnie wyrzucił ją z pędzącego pociągu.

10 stycznia br. w Koluszkach w czasie legitymowania pewnego dorastającego chuligana został pobity funkcjonariusz SOK.

Instruktor Komendy Oddziałowej SOK w Łodzi kładzie przede mną grube tomy, gdzie zostały odnotowane wstrząsające w swej wymowie akty bestialstwa dokonane na pracownikach PKP. Żaden z nich nie przekroczył dwudziestu lat, są jeszcze młodzi, mogliby się uczyć, pracować, mogliby zdobywać zawody, budować z nami nasze miasta. Mogliby...

Codziennie o szarych i mokrych świtach pełzną w kierunku Łodzi zmęczone parowozy, mkną elektryczne składy wioząc ludzi, którzy na kilka godzin staną przy tokarkach, zmienią swoich kolegów przy krosnach, zasiądą za biurkami. Codziennie przybywa na łódzkie dworce 52 tysiące osób korzystających z biletów miesięcznych. W ruchliwym i nieustającym ludzkim potoku uwijają się młodzi ludzie w tużurkach z opadającymi na ramiona włosami. Idą grupkami, rozbijają stłoczonych przy wyjściu robotników, odpychają kobiety stojące przy tramwajach. To młodociane gangi chuligańskie, grupy grasujące na podmiejskich trasach, potencjalni przestępcy.

V

Wiek osób zatrzymanych przez służbę SOK nie przekracza w zasadzie trzydziestu lat. Wielu z nich dojeżdża do pracy, wielu do szkół. Problem chuligaństwa w pociągach jest złożony, tak jak problem wyrostków obrzucających kamieniami pociągi. Bo przecież zdajemy sobie sprawę z tego, że wina leży nie tylko w młodzieży. W równym stopniu należy doszukiwać się jej wśród rodziców jak i wśród samych pasażerów. Rzadko bowiem zdarza się, by ktoś zwrócił uwagę długowłosym młodzieńcom na ich niewłaściwe zachowanie się, na „wiązanki" rzucane ostentacyjnie, na zaczepki i burdy. W naszych pociągach jak i w życiu, panuje zastraszająca znieczulica: nie moje, mnie to nie dotyczy, co się będę wtrącał...

* * *

Więc ten reportaż dedykuję wszystkim, którzy codziennie o wilgotnym świcie śpieszą w stronę oświetlonych dworców. Nie bądźcie obojętni! Obok was rośnie zło, które wymaga waszej zdecydowanej postawy. Broniąc mienia społecznego bronicie siebie. Dziś obserwujecie tłuczenie szyb, jutro możecie stać się świadkami czyjejś śmierci.

ALEKSANDRA OCHALSKA

Winowajca

Pot spływał ciurkiem po zmęczonej twarzy lekarza. Gromadka rozgorączkowanych obserwatorów, śledziła z zapartym tchem, każdy jego ruch. Wreszcie rezygnacja i wyrok: za późno, nic się już nie da zrobić — powiedział do sierżanta. Człowiek w mundurze bezradnie rozłożył ręce, i ze skupieniem pogrążył się w swoich notatkach, usiłując wyciągnąć prawdę od ludzi. Świadków było wielu. Każdy widział najlepiej, każdy chciał pomóc. Sanitariusze z trudem przeciskali się przez ciżbę lepiących się do noszy postaci. Jaki młody — żałowały kobiety. Syrena Pogotowia Ratunkowego zagłuszyła dalsze słowa współczucia. A więc mówi pan, że znał denata — zwrócił się milicjant do otyłego mężczyzny w ciemnych okularach. No, jakże nie, skoro był moim sąsiadem. Nawet nie wiem, skąd się tu wziął, nie zdążyłem z nim zamienić ani słowa. Często chodziliśmy razem na ryby, bo wodę lubił tylko z daleka. Kiedy znudzony samotnym pływaniem, namawiałem go na kąpiel, mówił, że woda zimna, mokra i zdradliwa. Tchórz! — przerwała któraś z kobiet przysłuchująca się rozmowie. Powiedziałabym, że raczej bardzo wrażliwy, poszedł za pierwszym porywem serca — dorzuciła druga. Ja także byłam blisko — wysunęła się trzecia. Skoczył na oślep, widziałam na własne oczy, i nie tylko ja — ciągnęła dalej kobieta. Wszystkim jakby ktoś nogi powiązał, stali wrośnięci w ziemię. On jeden był wolny. Usłyszałam plusk wody i zobaczyłam jego długie ręce, wystające nad głową, jak korzenie. Wtedy nie wiem, jakim cudem, nadbiegł od strony lasu ojciec chłopca, i przyholował go szczęśliwie na plecach do brzegu. Po tamtym zostały tylko koła. Usłyszałam, jak ktoś krzyknął: O Jezu! On się pewnie utopił! Resztę, pan już wie, panie władzo. Kobieta, zadowolona, że tak sprawnie opowiedziała o całym zajściu, wydęła dumnie wargi, oczekując pochwały. Ale milicjant szukał wzrokiem ciemnych okularów. Czy denat miał dzieci? Bo, że żonaty, to wiem z dowodu osobistego — powiedział do otyłego. Będzie miał. Właściwie, to jego żona będzie miała, chodzi w ciąży. Dopiero przed rokiem się pobrali, i kto by to pomyślał... Przecież on w ogóle nie umiał pływać. Zdjął okulary i przecierał szkiełka białą chustą. Głupiec! — zaśmiała się kobieta o mięsistych wargach. Kto się rzuca do wody, nie umiejąc pływać, i po co, żeby się utopić? Niech pani przestanie — machnął ze zniecierpliwieniem ręką sąsiad denata. I tak pani tego nie zrozumie, ja go lepiej znałem. To był po prostu wspaniały człowiek! A zwracając się do milicjanta dodał: Ja tu jestem największym winowajcą. Mogło być inaczej...

TERESA MILIŃSKA

Macierzyństwo

Otworzyła oczy. Wsparła się na łokciach. Rozglądała się po mieszkaniu i przymrużała z lekka zaspane jeszcze oczy. Nagle lekko drgnęła, odrzuciła głowę do tyłu i śmiech jej napełnił mieszkanie. W chwilę potem przywarła plecami do poduszki. Jej ręce o długich, różowych paznokciach sunęły wzdłuż szyi, ramion. Pieszczotliwie obejmowały napiętą skórę brzucha. Momentami wydawało jej się, że głowa i piersi wciskają się w ów balon — krzywiła się boleśnie — potem następował przyjemny rozkurcz i przez ciało począwszy od czubków palców, aż po szyję przebiegało tysiące mrówek i znikało gdzieś nagle w czeluściach mózgu, aby wraz z nowym skurczem zacząć wędrówkę od nowa. Nerwowo rozpinała guziki koszuli. Bolały ją ciężkie piersi, malinowe guziczki sutek ubarwiały mleczną biel ciała. Brzuch był przygniatający, jakby pełen kamieni. Chwilami wydawało jej się, że widzi poprzez skórę stopę dziecka, to znów rączkę czy główkę. Dziwiła się, że dziecko w jej wnętrzu jest takie ruchliwe, uderzało ją nawet boleśnie. Tworzyły się wtedy na skórze wybrzuszenia i momentalnie ginęły, by móc ukazać się w innym miejscu. Spoglądała na swoje stopy, były obrzmiałe, nogi w kostce były nienaturalnie grube. Podchodziła do lustra, rozpuszczała związane włosy. Miękko opadały na szyję. Nagle skuliła się, chwyciła silnie brzuch w obie ręce. Wolno jakby bojąc się upuścić drogocenne naczynie szła w stronę łóżka. Opadła na wznak. Rozpuszczone włosy przesłaniały twarz o szeroko rozwartych ze zdziwienia oczach. Zwinęła się znowu. Wyraźnie czuła, że ktoś kolanami ugniata jej brzuch, to znów że łamią jej nogi. Ogromny gorący ból wcisnął się w nerki, a potem rozżarzonym ogniem przelewał się po krzyżu aż po kręgi szyjne gdzie kłująco wpychał się do uszu. Wwiercając się wyciskał łzy z oczu i potem znikał gdzieś niezauważalnie. Odetchnęła głęboko. Rozkurczyła mięśnie rąk i nóg.

Czuła, że to będzie już, teraz. Chciała wstać aby zawołać męża, ale znów rozżarzony do czerwoności ogień zaczął pełzać po grzbiecie i wciskać się w żebra. Wpiła się rękoma w pościel, wyprężyła ciało. Krzyk jaki wydobyła z siebie sprawił jej dużą ulgę. Opadła już spokojna. Spoglądała na twarz matki i męża. Uśmiechała się do nich i była pewna, że ich łzy są też łzami radości. Usiadła. Zaczęli jej pomagać wkładać szlafrok. Wiedziała, że nie wróci tu sama i to napełniało ją ogromnym szczęściem.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

Staruszkowie

Zamknięci w linię życia
pomarszczeni, maleńcy,
idą krokiem niepewnym
jakby ucząc się chodzić
i na nową epokę
spoglądają zdziwieni.

Staruszkowie nie płaczą
kiedy północ nadchodzi.
Swe wspomnienia pośpiesznie
układają w pasjanse.

A gdy zegar z kukułką
bije słowa: już czas,
w dal odchodzą samotnie,
w popiół wchodzą na powrót,
do kamienia przyrośli
w ziemię słońcem wrastają.

ZBIGNIEW S. NOWAK

Co znaczy „miłość"...?

Co znaczy „miłość" — powiedz
— Ja chyba tego nie wiem...
Czy „kochać" — znaczy
W Tobie
Odnaleźć siebie...?

Co znaczy „miłość" — powiedz
— Ja chyba tego nie wiem...
Czy „być kochanym"
— To mieć
Ciebie — dla siebie...?

LUCYNA SKORUPSKA

Zdjęcie rodzinne z lat trzydziestych

głowy ciotek
powtykane na sztywne szyjki
wyżej
głowy babek
zasuplane do końca
wyżej
głowy wujków
z motylami pod nosem
z motylami pod brodą
z motylem w butonierce
wyżej
głowa dziadka
wkręcona na tłusty kark
z talbaną pomnikowego czoła

na wszystkich ustach
siedzi ten sam krzywy robaczek
wszyscy w pionach zastygli
w zgodny rodzinny płotek

Rys. M. Kapuścińska

Władysław Rymkiewicz, autor licznych powieści o tematyce historycznej i współczesnej, ma za sobą czterdzieści lat pracy twórczej. W związku z tym pięknym jubileuszem redakcja „Odgłosów" zwróciła się do pisarza z prośbą o rozmowę. Pierwsze pytanie dotyczyło, oczywiście, początków twórczości.

Piękny jubileusz

ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM RYMKIEWICZEM

WŁ. RYMKIEWICZ: — Mój debiut książkowy przypada na rok 1929. Wcześniej pisywałem drobne utwory do „Bluszczu", „Polski Zbrojnej" i „Dodatku Literackiego" redagowanego przez Kaden-Bandrowskiego w „Głosie Prawdy". Pierwszy tom wydany przez Gebethnera i Wolfa zawierający trzy opowiadania nosił tytuł „Różowe-złote-czarne". Za jeden z nich poprzednio otrzymałem pierwszą nagrodę w konkursie „Wiadomości Literackich". Konkurs był bardzo ciekawy. Dlaczego? Bardzo wyraźnie określono 3 tematy. Pamiętam tylko dwa — o butach i perfidii. Wybrałem ten drugi temat i napisałem opowiadanie „Wiesław i Gladys", za które właśnie otrzymałem pierwszą nagrodę. Jury konkursu składało się z bardzo wybitnych osobistości, m. in. był Karol Irzykowski i Stanisław Czosnowski. To właśnie jury obmyśliło tematy. II nagrodę za opowiadanie o butach otrzymał wtedy Jaszcz — Jan Alfred Szczepański, zapalony taternik.

Ta nagroda była pewnego rodzaju dopingiem, który sprawił, że napisałem wspomniany wyżej tom opowiadań. Druga pozycja powieść: „Prawo do miłości wydana w parę lat później u Mortkowicza, była ilustracją tezy Boya walczącego o wprowadzenie ślubów cywilnych i prawo do rozwodu. Mają przedwojenną pracę literacką traktowałem marginesowo, bo byłem z zawodu prawnikiem i warunki życiowe tak mi się układały, że nie mogłem w nią włożyć całego wysiłku.

Dopiero po wojnie całkowicie poświęciłem się pracy literackiej. Stało się to w następujących warunkach. Z nieodżałowanym Janem Brzechwą, który był z zawodu prawnikiem, pracowaliśmy w biurze radcy prawnego spółki wydawniczej „Czytelnik" w Łodzi, prowadzonej wówczas przez Jerzego Borejszę. Gdzieś w 1946 r. Jan Brzechwa zwrócił się do mnie z propozycją, że przecież nie warto, żebyśmy tracili czas na wykonywanie zawodu, który nie dawał nam rzetelnej satysfakcji, tym bardziej, że w nowych warunkach w Polsce Ludowej praca literacka zapewni nam taki poziom życiowy, jakiego byśmy nie mogli osiągnąć w przeszłości. I właśnie w 1946 r. razem zrezygnowaliśmy raz na zawsze z zajęć w zawodzie prawniczym. Brzechwa wprawdzie zerwał swoje kontakty ze środowiskiem prawniczym, ale służył jeszcze przez długi czas swoją wiedzą kolegom ze Związku Literatów w zakresie prawa autorskiego, którego był doskonałym znawcą.

ODGŁOSY: Jak się potoczyła Pańska praca w okresie powojennym?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Mam bardzo cenne wspomnienia ze znajomości z Zofią Nałkowską, która należała do sądu konkursowego na opowiadanie o tematyce wojennej. Na konkursie tym rozstrzygniętym w 1947 lub 1948 roku otrzymałem nagrodę za opowiadanie „Rafał z lasu", które było drukowane w „Głosie Ludu" i stało się tytułowym utworem zbioru opowiadań wydanych przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik".

ODGŁOSY: — Co było tematem dalszych Pana prac?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Mając na względzie obowiązki do jakich się poczuwałem wobec kształtującego się w trudnych warunkach naszego państwa ludowego odpowiedziałem na znane powszechnie wezwania i za przykładem wielu kolegów napisałem powieść, której tematem była odbudowa zatopionych przez wycofujących się hitlerowców Żuław. Rezultatem mych penetracji i badań była powieść pt. „Ziemia wyzwolona". Starałem się w niej pokazać obok bohaterskich wysiłków i osiągnięć klasy robotniczej przy odbudowie Żuław, również towarzyszące tym prawie nadludzkim wysiłkom dramaty, straty i ofiary w ludziach. Wobec panującego wszechwładnie w redakcjach wydawnictw „optymizmu" wszystkie partie powieści traktujące o poświęceniu robotników dochodzącym aż do ofiar z życia zostały bezceremonialnie wykreślone. Pisał o tym niedawno Jerzy Putrament w swoich znakomitych wspomnieniach „Pół wieku", których fragmenty były drukowane we „Współczesności" w lipcu ubiegłego roku.

Sprawa ta była dla mnie tym bardziej przykra, że „Ziemia wyzwolona" doczekała się tłumaczeń na język rosyjski, niemiecki a nawet chiński w zniekształconej formie, gdyż wybrano z niej fragmenty tylko pełne optymizmu, tak, jakby życie składało się z samych radości.

ODGŁOSY: Jak to się stało że zainteresował się Pan tematyką historyczną?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Wydawało mi się, że pewne zagadnienia współczesne można również przedstawić pod kostiumem historycznym. Oprócz tego można również nawiązywać do tradycji ludowych i plebejskich.

ODGŁOSY: Tym się tłumaczą prawdopodobnie „Rycerze i ciury"? Czy nie mógłby Pan powiedzieć czegoś więcej na ten temat?

WŁ. RYMKIEWICZ: Wolę o tym nie mówić, gdyż i „Rycerzy i ciurów" i trzy, cztery następne moje książki historyczne traktuję jako pracę popularyzującą tradycje walk narodowo-wyzwoleńczych.

ODGŁOSY: Ale przecież i „Trzystu pod Dobrą" i „Widok z Księżego Młyna" również popularyzują te tradycje?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Owszem, z tym, że w obu tych powieściach założyłem sobie bardziej ambitne zadania.

ODGŁOSY: Słyszałam, że lada dzień ma się ukazać Pańska nowa powieść „Czas pojedna, trawa porośnie",

WŁ. RYMKIEWICZ: — Otrzymałem właśnie egzemplarz „sygnalny". Jest to powieść o roku 1905 w Łodzi, stanowiąca zamknięcie cyklu łódzkiego. Zdaje mi się, że trzy historyczne daty są słupami milowymi w dziejach Łodzi. Jest to rok 1863 — opisany w „Trzystu pod Dobrą", 1892 — w „Widoku z Księżego Młyna" i rok 1905 stanowiący temat ostatniej mojej powieści.

ODGŁOSY: Czy jest to powieść wyłącznie polityczna?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Wręcz przeciwnie. Starałem się dać jak najszerszy obraz ruchów rewolucyjnych od stycznia do czerwca 1905 r. w Łodzi oraz opisać uczucia tych, którzy nie tylko walczyli o sprawy wyzwolenia narodowego i społecznego lecz również mieli głębokie życie osobiste z jego wszystkimi konfliktami, dramatami i namiętnościami.

ODGŁOSY: Wspomniał Pan o egzemplarzu „sygnalnym".

WŁ. RYMKIEWICZ: — Po takim egzemplarzu czeka się jeszcze ze trzy do czterech tygodni zanim książka ukaże się na półkach księgarskich, z tym, że chyba „Czas pojedna, trawa porośnie" będzie wcześniej do nabycia w Łódzkiej Księgarni przy ul. Piotrkowskiej 105.

ODGŁOSY: Czy pozostaje Pan nadal w kręgu tematyki historycznej?

WŁ. RYMKIEWICZ: — Obecnie pracuję nad powieścią współczesną, której zagadnieniem jest stosunek człowieka do otaczającego go świata mitów i znaczenia ich w naszym życiu.

Rozmawiała B.M.

„Król Ubu I"
(drzeworyt)

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Sztuka w cieniu tradycji

Mimo geograficznej bliskości bardzo niewiele wiemy o sztuce współczesnej Austrii. Niewiele, bo wzajemne kontakty w zakresie wymiany kulturalnej nie są zbyt obfite. Dlatego wystawa austriackiej grafiki w Muzeum Sztuki, przybliża polskiej publiczności — przynajmniej fragmentarycznie — dzisiejszy stan sztuk plastycznych w tym kraju *).

Najwybitniejszy współczesny malarz austriacki, Oskar Kokoschka, mówiąc o nowych stylach w sztuce i związanej z tym roli krytyki, tak sformułował własny pogląd na ten temat: „Od dziesiątków lat wielu krytyków nie ma odwagi potępiać stylu, który jest nowy i jawnie obrazoburczy, lub którego nie rozumieją. Krytycy owi tak bardzo boją się stracić znaczenie u młodej generacji i skompromitować przestarzałością poglądów, iż zachowują się jak stare histeryczki, które ze strachu, że się już nie podobają, przyjmują względy pierwszego lepszego mężczyzny. Jest to paniczny strach przed „spóźnieniem się", jak określamy ten rodzaj histerii. Myślę jednak, że krytyk nie powinien zdawać się na łaskę i niełaskę wszystkiego co nowe lub co pospolite w sztuce. Bzdurą jest sądzić, że wszystko co nowe jest bezwzględnie lepsze".

I choć prac Kokoschki na łódzkiej wystawie nie ma, trudno się oprzeć wrażeniu, że unosi się na niej duch tego artysty, wywierającego tak przemożny wpływ na współczesną sztukę austriacką.

Austriacka sztuka współczesna tkwi bowiem mocno w tradycji, wyznaczonej z jednej strony przez Jugendstil i wiedeńską secesję z drugiej zaś strony przez niemiecki ekspresjonizm, którego przedstawicielem był przecież sam Kokoschka. Tak więc i pokazana w Łodzi grafika, poza kilkoma wyjątkami, daje się zamknąć w ramach tej tradycji. Wyjątki — to przede wszystkim rysunki znanych rzeźbiarzy Fritza Wotruby i Johannesa Avramidisa, stanowiące studia i notatki rysunkowe, jakie wykonuje każdy rzeźbiarz, zanim jego pomysł stanie się przestrzenną formą.

Natomiast prace graficzne innego rzeźbiarza, Alfreda Hrdlicki, mają już własny żywot, zupełnie niezależny od twórczości rzeźbiarskiej tego artysty. Głośne sztychy Hrdlicki utrzymane w formie jakby niedbałych marginesowych zapisów rysunkowych ułożonych w anegdotki o pomieszanej kolejności i w różnych planach, zdobyły cały szereg nagród na Biennale w Lublanie, Lugano, Biella i Tokio. Myślę jednak, że nagrody nazbyt uświęciły twórczość tego niewątpliwie mocno zaangażowanego społecznie artysty, ale jednocześnie nie przebierającego w środkach zmierzających do wstrząśnięcia odbiorcą. Samo słowo „faszyzm" wywołuje skojarzenia wystarczająco makabryczne, aby trzeba było dziś, protestując przeciw faszyzmowi, uciekać się do form tak naturalistycznie makabrycznych, jak robi to Hrdlicka.

Na tym tle korzystniej już prezentuje się twórczość Adolfa Frohnera, również grafika spod znaku tradycji ekspresjonizmu, ale trafnie godzącego treści społeczne z formą, jaką nadaje swym pracom. Cykl rysunków „Wulgarny balet", z ironią i sarkazmem atakuje mity współczesnego mieszczaństwa. Jest to sztuka bardzo dzisiejsza.

Nurt antymieszczański jest zresztą na wystawie dość powszechnie reprezentowany. Taka jest również sztuka Rudolfa Schoenwalda, który językiem plastycznym rozwija literackie wzorce witalizmu i brutalnego biologizmu (Król Ubu I, Uwagi o królu Ubu, Szalony Gargantua). Forma odpowiada tu doskonale treści, jest mocna, rubaszna i groteskowa.

Antymieszczański jest również Hans Escher, który sięga w swoich sztychach do konkretnych wydarzeń, traktując je jako swego rodzaju cytaty z historii społecznych ruchów postępowych.

Charakterystyczne jest to silne penetrowanie treści społecznych przez wszystkich twórców, których stylistyka pozostaje w związku z tradycją ekspresjonizmu. Inni plastycy, zwłaszcza ci bliżsi tradycji sztuki secesyjnej, odchodzą w swej twórczości od problematyki społecznej. Będą to również ci z pogranicza obu tradycji jak Moldowan czy Swoboda, którzy sięgają do tematyki mitologicznej, scenek bukolicznych.

Sztuka Heinricha Heuera, delikatna i poetycka, kojarzy się nastrojem i sposobem traktowania płaszczyzn obrazu, z malarstwem Gustava Klimta, mistrza austriackiej secesji. Oswald Oberhuber łączy tradycję sztuki przedstawiającej z doświadczeniami pop-artu i pewnymi elementami sztuki optycznej. Osiąga dzięki temu dość interesujący i oryginalny kształt artystyczny swoich wypowiedzi twórczych. Hans Krenn, najbardziej chyba nawiązujący do form secesyjnych, buduje swoje symboliczne kompozycje bardzo starannie z nieco przesadną dbałością o sztafaż. Podział płaszczyzny jest tu niesłychanie precyzyjny, poszczególne przeplatające się elementy kunsztownie spinają powierzchnię grafiki. I chyba właśnie dlatego prace te sprawiają wrażenie neurastenicznych, a pewne treści społeczne, do których sięga autor, w takim zestawieniu gasną.

---

*) Nowa grafika i rysunki z Austrii. — Muzeum Sztuki w Łodzi, luty — marzec — 1969.

BOGDA MADEJ

Póki jest miłość

Zaczyna się najczęściej od drobiazgów. Potem drobiazgi przestają już być drobiazgami, kłótnie są coraz częstsze i coraz dłuższe godziny złej ciszy. Dwoje ludzi, którzy założyli wspólny dom, bo się kochali, zaczynają w tym domu czuć się coraz gorzej. Interwencje teściowej lub nawet dwu, rady bliższych znajomych. A potem stają przed obliczem sędziego, żeby pomógł im zejść ze wspólnej drogi, którą przed laty tak bardzo chcieli rozpocząć razem.

Poradnia Rodzinna „ZGODA" Darmo by szukać takiej tabliczki na drzwiach, bo jej po prostu nie ma. Za to jest Poradnia. Powołana do życia z inicjatywy Ligi Kobiet w październiku ubiegłego roku, postawiła sobie za cel, wobec nie zmniejszającej się ilości spraw rozwodowych i alimentacyjnych, utrzymanie całości małżeństw. Póki oczywiście nie jest jeszcze zbyt późno.

Swego kąta Poradnia jeszcze nie ma. Do „pożyczonego" więc od instruktorów Ligi Kobiet pokoju pukają dwa razy w tygodniu żony, mężowie, albo i małżeńskie pary. Szukają pomocy dla swoich trudnych spraw, najczęściej bardzo już nabrzmiałych w konflikty. Szukają pomocy u kogoś obcego, kto potrafi zupełnie obiektywnie przyjrzeć się ich niedobremu życiu. Psycholog, o sylwetce i sposobie bycia młodej, delikatnej dziewczyny, nie ma łatwego zadania. Praca, wbrew pozorom, nie polega na dawaniu rad. Długie rozmowy, przedłużające się następnie wizyty w Poradni, mają przede wszystkim uświadomić każdej stronie istotę konfliktu, pomóc w rozumieniu osobowości tej drugiej połowy, czasem poznać siebie. To bardzo trudne zadanie. Wymaga nie tylko znajomości psychologii. Także wielkiej uwagi, taktu i umiejętności rozmowy z zacietrzewionym współmałżonkiem, którego zaprasza się tu również. Zapraszani najczęściej przychodzą.

Od października Poradnia Rodzinna prowadzi sprawy 23 małżeństw. Samych wizyt było już 44, bo wprawdzie zdarzają się sytuacje, gdy wystarczy jednorazowa wizyta, ale zdecydowana większość wymaga kilkakrotnych spotkań i rozmów. I nie ma w zasadzie spraw definitywnie zakończonych. „Uratowani" małżonkowie spotkają się z psychologiem za rok.

Jakie są najczęstsze przyczyny małżeńskich konfliktów? — Pierwsza i najbardziej trudna do zlikwidowania — alkoholizm męża. Stąd strach, odraza fizyczna, strata pieniędzy. Druga przyczyna to nieprzygotowanie do wspólnego życia młodych małżonków. Sporo ich zgłasza się do „Zgody" i tu okazuje się, że pojęcia nie mieli o tym, że małżeństwo to nie tylko zalegalizowanie płomiennej miłości, ale także cała masa obowiązków, zupełnie nowych i wcale niełatwych, wynikających z odpowiedzialności za drugą osobę, a często już i za dziecko.

Ta, jakże jeszcze częsta naiwność młodych ludzi każe myśleć o szerszej akcji, która by odpowiedziała na podstawowe pytanie — co to jest małżeństwo.

Liga Kobiet zorganizowała w Urzędach Stanu Cywilnego spotkania z narzeczonymi, ale jakież pole do popisu ma tu jeszcze szkoła średnia, ba, nawet większe zakłady pracy. Poradnia Rodzinna może tu już służyć wieloma przykładami i wnioskami.

Mówiąc o przyczynach konfliktów trudno nie przytoczyć następnej tak dobrze wszystkim znanej niezgodności charakterów, choć przecież nie ma reguły, że dwa takie same charaktery gwarantują zgodne pożycie. W czym więc tkwi istota konfliktu? Truizmem byłoby mówić, że nasza współczesność jest szalenie nerwowa. Ale ile zdenerwowanych osób potrafi zameldować z uśmiechem domownikom — proszę się przez dwie godziny do mnie nie odzywać? Ilu zaś domowników potrafi takie oświadczenie zrozumieć?

Poradnia Rodzinna współpracuje z seksuologiem z Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa i tam przekazuje część spraw, w których podłożem konfliktowym są zagadnienia seksualne, natomiast do poradni typu wychowawczo-zawodowego kieruje dzieci i skłóconych o nie rodziców. Okazuje się bowiem, że wielu dorosłych nie ma pojęcia o psychice dziecka, stąd zaś prosta droga do niekonsekwencji w wychowywaniu i zatargów między matką a ojcem. Na szczęście te sprawy dają się stosunkowo łatwo rozwiązać, podobnie zresztą, jak i konflikty wśród młodych małżeństw, którym trzeba tylko uświadomić i wyjaśnić nowe obowiązki.

Zdarzają się przecież i takie sprawy, że nic się już nie da uratować, że jest już za późno. W takich sytuacjach Poradnia kieruje małżonków do prawnika i pomóc może tylko w kulturalnym przeprowadzeniu rozwodu.

Wiek zgłaszających się do Poradni? Zdecydowanie wyróżniają się dwie grupy małżeństw, pierwsza od 23 do 28 lat i druga, w której wiek małżonków waha się między 40 a 50 rokiem życia. Zgłaszają się przede wszystkim kobiety, choć rzecz charakterystyczna, w początkach działalności Poradni przeważali mężczyźni. Przekrój społeczny — od wykwalifikowanych robotników do inteligencji.

Pora wreszcie powiedzieć o efektach dotychczasowej pracy Poradni Rodzinnej, choć o tym mówić najtrudniej. Młodziutka jest jeszcze łódzka „Zgoda" czwarta bodaj poradnia tego typu w Polsce. Dopiero szuka własnych metod, zbiera dopiero pierwsze doświadczenia. Ale efekty już są. Przyjeżdżają ludzie z województwa, bo już tam wieść o niej dotarła. Przychodzą kobiety, bo sąsiadka opowiadała, że jej znajomym Pani Psycholog pomogła. Były już i kwiaty. Od tych małżeństw, które odeszły stąd pojednane.

A ci, którzy jeszcze złożą wizyty w Poradni Rodzinnej? Muszą przede wszystkim pamiętać, żeby nie zdecydować się na to zbyt późno. Wszystko można jeszcze zrobić póki jest miłość. Bo małżeństwo da się uratować. Miłość jeśli jej już nie ma — nie.

PÓŁKA z KSIĄŻKAMI

OSTATNIE AKORDY WOJNY

Oszałamiająca książka! Nie sposób czytać ją „jednym ciągiem", nie sposób zasiąść nad nią jak nad powieścią czy reportażem i po prostu czytać. Trylogię „Zwycięstwo" Jana Gerharda trzeba studiować. Kluczyć po rozdziałach i tomach, wędrować przez ponad 1500 stron, śledzić teatr ostatniej wojny znad Tamizy, potem wracać nad Wisłę, albo nad Sekwanę czy Szprewę...

Myślę, że jest to dzieło znaczące. Z ogromnej literatury, z dokumentów, z własnych doświadczeń, z własnej wiedzy wojskowej i politycznej, z własnej wiedzy literackiej — Jan Gerhard przyrządził reportaż faktograficzny. Trzy tomy informacji i sądów, wydarzeń i refleksji na temat ostatnich miesięcy drugiej wojny światowej. Mimo bogatej w tym względzie literatury — takiego dzieła polska publicystyka historyczna jeszcze nie miała.

Ostatnie akordy wojny — tej na wszystkich frontach, w polu i huku wystrzałów i tej w zaciszu dyplomatycznych gabinetów. Wojny widzianej niemal równocześnie oczyma Guderiana i oczyma Eisenhowera, Rokossowskiego i Pattona, Montgomery'ego i de Gaulle'a. Ale także jest to wojna widziana oczyma szeregowych żołnierzy i oficerów, wojna z relacji więźniów hitlerowskich kacetów.

Zawrotne jest tempo tej książki — tak jak zawrotne było tempo ostatnich miesięcy Wielkiej Wojny. Celowo i logicznie narzucił je autor swojej pracy, choć czytelnik młody, który sprawy te zna pobieżnie, zaledwie z lekcji historii, może się w tym kalejdoskopie frontów i wydarzeń, postaci i operacji nieco zagubić. Dlatego powtarzam — „Zwycięstwa" nie można czytać — trzeba je studiować. Ale też jest to dzieło zawierające taką sumę informacji i opinii, że zasługuje, aby je ustawić w podręcznej biblioteczce i aby do niego powracać.

W tomie pierwszym („Żołnierze i dyplomaci") obejmującym wydarzenia od jesieni 1944 r. znajdziemy i operację w Ardenach i ofensywę Armii Czerwonej i LWP z linii Wisły i bitwę o Wał Pomorski i krymskie rozmowy Wielkiej Trójki. Następnie (tom „Wielkie intermezzo") przygotowanie operacji berlińskiej, kontrofensywy hitlerowskie, działania na froncie zachodnim, wyścig do Berlina, kulisy alianckich koncepcji i taktyki, dramat więźniów z hitlerowskich obozów pędzonych kilometrami z terenów zagrożonych ofensywą — dramat śmierci w przededniu zwycięstwa. No i wreszcie (tom „Berlin—1945") operacja berlińska. Szczyt i finał wydarzeń.

Potężna książka i potrzebna książka. Przypomina nam bowiem zmagania całej Europy z niemieckim faszyzmem — mówi o naszym polskim udziale krwi w tej najtragiczniejszej z wojen. Ale nie tylko to. Jan Gerhard kreśląc obraz ostatnich miesięcy wojny zwraca także uwagę na zalążki przyszłych konfliktów, na pierwsze oznaki tego, że kończąca się w radosnym wiwacie pepesz wojna rzucała już cień na jutro świata.

Danina krwi jaką opłaciły narody Europy zwycięstwo w tej wojnie była ogromna. Jej efektem były jednak najwyższe ludzkie dobra — Wolność i Niezależność. Książka Gerharda jest więc także opowieścią o zwycięstwie słusznej sprawy. O tym, że do niej zawsze należy ostatnia karta w wojennej grze. „Zwycięstwo" jest książką optymistyczną nie dlatego, że to było nasze zwycięstwo, ale dlatego że zwyciężyła słuszna sprawa.

J.W.

Jan Gerhard „Zwycięstwo"
tom I „Żołnierze i dyplomaci"
tom II „Wielkie intermezzo"
tom III „Berlin—1945"
Wydawnictwo MON — 1968
Cena 96 zł.

TADEUSZ TELMA

Trudne LATA

W rocznicę ćwierćwiecza Polski Ludowej Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej wydało w swojej oficynie książkę, która bez wątpienia przyczyni się do pełniejszego zrozumienia skomplikowanej problematyki społeczno-politycznej i trudności związanych z walką o władzę w Polsce w pierwszych latach budowy ludowo-demokratycznego ustroju. Książka ta zatytułowana „O utworzenie i utrwalenie władzy ludowej 1944—1948" wyszła spod pióra dwóch zawodowych historyków: doc dr Władysława Góry i dr Ryszarda Halaby, którzy już od wielu lat zajmują się badaniami dziejów Polski Ludowej i mają w swoim dorobku wiele pionierskich i wartościowych opracowań.

Autorzy w zakończeniu omawianej pracy napisali skromnie: „Mamy nadzieję, iż nasza próba, aczkolwiek popularna w formie i nieco sucha w treści, a niekiedy i powierzchowna z uwagi na niedostępność wielu jeszcze dokumentów i brak dystansu w spojrzeniu na tak niedawną przecież przeszłość może stać się zachętą do podjęcia dalszych badań nad dziejami Polski Ludowej, nad kształtowaniem się prawidłowości i specyfiki procesów, jakie towarzyszyły początkom budowy nowego ustroju w naszym kraju w omawianym okresie".

Czy książka istotnie pobudzi innych historyków do zajęcia się dziejami pierwszych lat Polski Ludowej, trudno stwierdzić, wiemy natomiast, że na pewno jej tematyka wzbudzi duże zainteresowanie wśród czytelników nieprofesjonalnych, głównie zaś wśród tych, którzy ten okres przeżyli i zechcą skonfrontować z relacją autorów własne oceny i doświadczenia. Przeczytają ją także ci, których ogólnie problematyka ta interesuje. W szkole okaże się bardzo przydatna na lekcjach wychowania obywatelskiego i z pewnością weźmie ją do ręki zarówno nauczyciel jak i uczeń.

Dotąd — prawdę mówiąc — takiej książki nie było. W ostatnich latach ukazywały się wprawdzie różne zbiory artykułów i wspomnień o podobnej treści, które jednak niezupełnie zadowalały czytelników. Wynikało to głównie z faktu, że pisane przez wielu autorów, prezentowały nie zawsze równy poziom, często publikowano po prostu to, co piszący wiedział, a nie to, co powinno się w takim opracowaniu znaleźć.

Nowa praca Góry i Halaby poprzedzona jest wstępem, który zasługuje na szczególną uwagę: zawarto w nim bowiem przedstawione po mistrzowsku podstawowe uogólnienia ówczesnych procesów historycznych, zrywające z dotychczasową rutyną i błędnymi poglądami na wiele kwestii. Warto tu choćby wskazać na tkwiące dotąd u wielu ludzi przekonanie, że cała powojenna działalność podziemia walczącego z władzą ludową to „bandytyzm". Takie postawienie sprawy autorzy słusznie uważają za błędne, gdyż określenie „bandytyzm" można odnieść tylko do elementów kryminalnych, a nie do ludzi, którzy tkwiąc w podziemiu w większości głęboko wierzyli, iż walcząc przeciwko władzy ludowej — postępują właściwie. Zresztą deprecjonowałoby to ogromny wysiłek, jaki włożyły wojska i organa bezpieczeństwa w rozgromienie przeciwników nowej władzy ludowej.

Kolejne cztery rozdziały książki ilustrują następujące problemy.

Rozdział poświęcony omówieniu sytuacji politycznej na ziemiach polskich w końcowym okresie okupacji daje z jednej strony przegląd wysiłków obozu londyńskiego, przygotowującego się wszechstronnie do objęcia po wojnie władzy w Polsce, z drugiej zaś pokazuje wysiłki lewicy polskiej, skupionej wokół PPR, w znalezieniu najsłuszniejszych koncepcji programowo-ustrojowych. Ta część książki zawiera także mało znane, a bardzo interesujące rozważania autorów nad różnicami poglądów w ocenie niektórych zjawisk politycznych, bądź propozycji ich rozwiązań w przyszłości, jakie miały miejsce między przywódcami PPR w kraju i kierownictwem Związku Patriotów Polskich w ZSRR.

W następnym rozdziale — niezwykle interesującym — omówione zostały zagadnienia związane z wyzwoleniem ziem wschodnich, organizacja władzy na tym terenie, a zwłaszcza aparatu MO i UB oraz polityka obozu londyńskiego wobec PKWN — pierwszego rządu Polski Ludowej. Uwzględniano w nim również szeroką polemikę z

CZAS INŻYNIERA

Dalszy ciąg ze str. 1

Powtórzmy więc: ładnie, wszystko — jak się to mówi — „gra".

Szczypta goryczy nigdy nie zaszkodzi, więc i nią przyprawimy naszą potrawę, bowiem i ona pochodzi od mądrych mózgów matematycznych GUS-u. Otóż pod względem liczby studentów przypadających na 10 tys. mieszkańców wyprzedzają nas m. in. takie kraje jak ZSRR, Bułgaria, CSRS i Węgry. W tym miejscu otarliśmy się o przyszłość, a nasi futurolodzy z Komisji Planowania przy Radzie Ministrów mówią tak: — Jeśli o zaspokojenie potrzeb na techników raczej powinniśmy być spokojni, to DEFICYT inżynierów oceniany jest do roku 1970 na okrągłą liczbę 30 tysięcy.

I tutaj dotarliśmy do tzw. sedna, czyli CZY WŁAŚCIWIE WYKORZYSTUJEMY OWĄ TECHNICZNĄ KADRĘ?

STO GŁOSÓW

Prawdę mówiąc to nie tylko my się nad tym zastanawialiśmy. Pewnego dnia uczynił to łódzki Oddział Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich czyli mówiąc krócej — SIMP.

Rozpisano ankietę, która przyniosła 100 odpowiedzi. Opracowano je szczegółowo, zestawiając dla czterech zakładów — A, B, C i D — powiedzmy. Trzy pierwsze to zakłady produkcyjne, natomiast ten ukryty pod literą D — jest placówką naukowo-badawczą.

Jakie wyniki przyniosła owa ankieta?

Popatrzmy na rezultaty właśnie w świetle pytania: **jak wykorzystujemy czas pracy, kwalifikacje inżynierów?**

Najpierw odpowiedź na pytanie: **„Jak oceniasz wykorzystanie twojego czasu pracy na zadania wymagające kwalifikacji inżyniera w poszczególnych zakładach"** wypadło:

Zakład A — 35,2 proc.
„ B — 35,2 „
„ C — 33,7 „
„ D — 48,9 „

Zastanawiająca zbieżność, która chyba potwierdza regułę.

Owych stu ankietowiczów odpowiedziało zresztą na drugie, korespondujące z poprzednim pytanie, a mianowicie: **jaki procent czasu uważasz z punku widzenia kwalifikacji inżynierskich za stracony?**

Zakład „A„ — 33,3 proc.
„ „B" — 33,9 „
„ „C" — 41,0 „
„ „D" — 19,3 „

Dużo bardzo dużo zmarnowanego czasu inżyniera i to nawet w owym zakładzie „D", który przecież jest placówką naukowo-badawczą!

Liczby i fakty. Darujcie nam je, bo nie chcemy Was nimi epatować, lecz kierujemy do ludzi, którzy z liczbami żyją codziennie za pan brat — do inżynierów i ekonomistów. A może odezwą się oni — dopowiedzą coś do naszego głosu bądź za przeczą?

Ale — jeżeli już tak liczymy — to dołączmy również tzw. imponderabilia.

Imponderabilia? Czy tym mianem można na przykład opatrzyć problem czasu jaki w owych zakładach, gdzie przeprowadzono ankietę, przeznacza inżynier na pracę nad pogłębieniem wiedzy, dokształcanie?

Oddajmy im głos.

Inżynier w zakładzie A — 35 minut
—"— —"— B — 17 „
—"— —"— C — 10 „
—"— —"— D —42 „

Mało, bardzo mało.

Żyjemy przecież w czasach, gdy nauka znaczy tak bardzo wiele, a niekiedy nawet WSZYSTKO. Za czasów Newtona liczba uczonych ulegała podwojeniu co 12 — 15 lat. Jakże inaczej jest obecnie! Oblicza się, że dziś żyjący „z nauki" ludzie stanowią trzy czwarte wszystkich uczonych jacy żyli na przestrzeni dotychczasowej historii ludzkości. W niektórych dziedzinach przemysłu liczba pracowników naukowych ulega podwojeniu co 8—10 lat...

ROZMOWY

Tak, sięgnęliśmy i do nich, choć nie spodziewajcie się tutaj nazwisk. Niech będą tylko „literki".

Inżynier A:

Wydajność naszej pracy nie może być duża. Brakuje często wielu informacji które — jeśliby istniały, znacznie przyśpieszyłyby pracę. Trudno się dowiedzieć jakie elementy znormalizowane są w sprzedaży. Brakuje aktualnej informacji.

Inżynier B:

Wiele urządzeń konstruuje się i robi w tzw. „własnym zakresie" dla jednego tylka zakładu, często przez zespoły przypadkowo dobrane i niepowtarzalne w innych przedsiębiorstwach, które... często trapią się nad tymi samymi zagadnieniami.

Inżynier C:

Są olbrzymie obciążenia biurokratyczne. Trzeba wypełniać niezliczone dokumenty, plany. Proces zatwierdzania jest dłuższy od projektowania.

Inżynier D:

Znowu brak informacji. Jedna placówka pracuje nad tym samym co inna, często sąsiadująca przez ścianę. Brakuje odpowiednich archiwów, mało jest katalogów, skróconych norm, urządzeń przyśpieszających pracę konstruktora.

W CIENIU

Tak, bo są i tacy, którzy dotąd pozostają w cieniu „inżynierskiego problemu". O kim mowa? O drugim, ale jakże ważnym „rzucie". Chodzi o techników.

W naszych zakładach na 1 inżyniera przypada 2,5 technika (w całej gospodarce — 1,9), ale jest to norma daleko odbiegająca od właściwych proporcji. Technik to jest chyba ten czynnik, który powinien wyręczać inżyniera od prac nie wymagających wyższych kwalifikacji. Tymczasem jak do tej pory, w nikim nie budzi zastrzeżeń to, że inżynier wykonuje wiele czynności pomocniczych, łącznie z przepisywaniem — niekiedy jednym palcem — jakichś prozaicznych biurokratycznych „kawałków". Ciekawe ile czasu i kwalifikacji marnuje się przez brak, lub „obcięcie" jednego etatu kreślarza czy maszynistki? Zresztą i to już obliczono: około 20—25 proc. całego swojego czasu, który powinien być powierzony personelowi o niższych kwalifikacjach, wykonują inżynierzy. Narady i konferencje pochłaniają 10—15 proc. czasu, dodajmy — nie zawsze potrzebnie.

* * *

Tyle. Resztę zostawiamy inżynierom. Ale — czy tylko?

KRZYSZTOF POGORZELEC

Książki nadesłane

ZYGMUNT KACZKOWSKI — „Anunciata" — Wydawn. Lit. Kraków, zł 45

STEFAN OTWINOWSKI — „Okoliczność Łagodząca" — Wydawn. Lit. Kraków, zł 12,—

Maria Konopnicka — „Publicystyka literacka i społeczna". — CZYTELNIK W-wa zł 40,—

JÓZEF CONRAD — „Listy"

MARIA MROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA — „Z lotu ptaka", PIW — zł 50,—

ZBIGNIEW SZACHERSKI — „Wierni przysiędze" — PAX — zł 45.

spektakle tygodnia

	Ilość spektakli	Liczba widzów	%
WIELKI			
— „Cosi fan tutte"	1	780	65
— „Pan Twardowski"	1	1260	100
— „Cyrulik Sewilski"	1	1260	100
— „Kniaź Igor"	1	1180	95
— „Romans gdański"	2	2520	100
NOWY			
— „Dziś do ciebie przyjść nie mogę"	3	2100	100
— „Żeglarz"	2	1400	100
— „Czerwone pantofelki"	2	1400	100
— „Rewizor"	1	600	90
NOWY Mała Sala			
— „Bliski nieznajomy"	3	500	85
— „Księżyc świeci nieszczęśliwym"	2	400	100
JARACZA			
— „Wesele"	4	2240	90
— „Przedwiośnie"	2	1260	100
7.15			
— „Znamy cię tylko z widzenia"	4	1480	88
POWSZECHNY			
— „Czarna Komedia"	2	1320	100
— „Kawior i kaszanka"	1	600	90
— „Taniec śmierci"	1	500	86
OPERETKA			
— „Hrabina Marica"	6	5880	87
TZŁ			
— „Fircyk w zalotach"	4	1570	100
FILHARMONIA			
— koncerty symfoniczne	2	1000 słuch.	75

poglądami niektórych historyków, poddających w wątpliwość przypisywanie PKWN nazwy rządu polskiego. Argumentem podstawowym dla takiego stanowiska jest tu analiza samej nazwy „Komitet", która to nazwa ich zdaniem oznaczała władzę zastępczą, albo najwyżej namiastkę rządu. Osobiście sądzę, że w sporze o ocenę charakteru PKWN jako organu państwowego należy przyznać rację autorom recenzowanej pracy. Napisali oni: „Przecież o tym czy PKWN był rządem, czy też nie w żadnym wypadku nie może decydować nazwa czy fakt uznawania lub też nieuznawania go przez państwa ościenne".

Natomiast chyba autorzy mylą się podając, iż pomiędzy Francją a PKWN wymieniono przedstawicieli dyplomatycznych. W ostatnim tomie swych pamiętników de Gaulle, który jako szef państwa prowadził w Moskwie rozmowy z przedstawicielami KRN i PKWN podaje, iż wyraził zgodę na wymianę tylko oficerów wojska, których zadaniem było udzielenie pomocy własnym jeńcom wojennym. Dopiero po utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodu, Francja uznała ten rząd i nastąpiła wtedy wymiana personelu dyplomatycznego.

Ostatnie dwa rozdziały pracy w całości dotyczą zagadnień związanych z działalnością w Polsce różnych pionów nielegalnego podziemia. Jest to wstrząsający w swej wymowie materiał. Straty, jakie wynikły z tej bratobójczej walki, sięgają około dwudziestu tysięcy ofiar. Czyż nie można więc stwierdzić, że Polska w latach 1944—1948 przeżyła coś w rodzaju małej wojny domowej? Myślę, że tak, aczkolwiek wielu badaczy neguje to stanowisko. Warto w tym miejscu uzupełnić dociekania autorów, że na terenie województwa łódzkiego z rąk reakcyjnego podziemia zginęło 580 osób w tym większość to członkowie PPR i funkcjonariusze UB i MO. Po drugiej stronie barykady zginęło 450 osób. A więc bilans tylko jednego województwa, które pod względem nasilenia wrogiej działalności było na piątym — szóstym miejscu w Polsce — wyniósł ponad tysiąc ofiar.

Wiele miejsca w tej części pracy poświęcono analizie powstawania i różnych przekształceń, jakie odbywały się wśród nielegalnych organizacji. Najwyraźniej widać zachodzące zmiany w b. AK. Po rozwiązaniu tej organizacji 19.I.1945 r. aktyw jej szybko powołuje do życia nowy człon pod nazwą „Nie", któremu wyznaczono rolę obrońcy interesów rządu londyńskiego i walki z władzą ludową. Ponieważ szybko uznano, że ten nowy twór nie może spełnić nałożonych nań obowiązków, przekształcono organizację „Nie" w DSZ (Delegatura Sił Zbrojnych), aby we wrześniu 1945 r. dokonać jeszcze jednej wolty, tym razem powołać do życia organizację pod nazwą Wolność i Niepodległość (WiN). Do końca istnienia podziemia w Polsce była to największa zorganizowana grupa, która prowadziła walkę z rządem za pośrednictwem propagandy i wywiadu, ale nie stroniła również od wystąpień terrorystycznych. Trzonem WiN-u, zwłaszcza jego aktywem kierowniczym była część ludzi wywodzących się z b. AK.

Autorzy wnikliwie omawiając wszystkie sprawy podziemia nie ominęli również i tych drastycznych, tzn. stosunku ówczesnych władz do b. żołnierzy AK czy BCH. Gdyby wtedy na ogół nie podciągano wszystkich tych ludzi pod miano wrogów, a respektowano wytyczne władz partyjnych, zapewne nie byłoby do dziś wśród wielu z nich tylu urazów i kompleksów. W książce przytoczony jest ustęp wystąpienia W. Gomułki na naradzie PPR 27.V.1945 r. świadczący o prawidłowym widzeniu tych spraw przez partię. Tow. Gomułka mówił: „...Jaką groźbę dla ruchu demokratycznego dla Polski Ludowej przedstawia sobą AK wiemy... My nie zapominamy o tym, ale równocześnie nie upraszczamy zagadnienia. Mamy przed oczyma i tych członków AK, którzy w okresie okupacji jako patrioci pragnący walczyć z Niemcami... poszli do AK aby walczyć z okupantem... Mimo to w praktyce podejście naszych organizacji partyjnych było takie, że nie odróżniano tych uczciwych akowców od reakcyjnej części AK. Sadzano ich do aresztu, bo to akowcy. Pamiętajcie, że to nie są zagadnienia łatwe. Ci, którzy walczyli o tę Polskę demokratyczną zawsze będą bezwzględni w walce z reakcją. Ale równocześnie właśnie ci, którzy najwięcej cierpieli, którzy całe życie spędzili w więzieniach, rozumieją najlepiej, jakie tragiczne znaczenie ma niesłuszny areszt, jak boleśnie oddziałuje na człowieka... My wysuwamy najostrzejsze zarzuty w stosunku do Bożów i Sosnkowskich do całej plejady różnych zbrodniarzy sanacyjnych, którzy nie dla Polski starali się, ale dla swojej kariery. Ale w stosunku do tych żołnierzy AK, którzy tego nie robili takich zarzutów, a zwłaszcza współpracy z Niemcami podnosić nie wolno i utrudniać im ich startu życiowego".

Władysław Góra, Ryszard Halaba: „O utworzenie i utrwalenie władzy ludowej 1944—1948". Wyd. MON Warszawa 1968.

TERESA WOJCIECHOWSKA

OPERA na zamówienie

Wystawienie „Cyrulika sewilskiego" jest dla każdej sceny operowej atrakcyjne i kuszące, bo popularność dzieła gwarantuje powodzenie u publiczności. Ale ta sama popularność sprawia, że podjęcie tej pozycji jest trudne i zobowiązujące. 150 lat na scenie to dla dzieła muzycznego okres dostatecznie długi, by się spopularyzowało w świecie, zwłaszcza gdy święci takie sukcesy jak „Cyrulik". Dzięki tym sukcesom na scenach, dzięki wykonaniom estradowym i nagraniom radiowym, dzisiaj nawet średnio umuzykalniony obywatel jest osłuchany z uwerturą, z pięknymi melodyjnymi ariami, zna je w najlepszych wykonaniach świata, wie jak powinny brzmieć. To właśnie zobowiązuje wystawiający operę teatr, zobowiązuje orkiestrę i solistów.

Warto ten trud podejmować dla piękna muzyki Rossiniego, dla dobrej zabawy, w której uczestniczymy wraz z rozwijającą się akcją. Interesujące są okoliczności, które towarzyszyły powstaniu opery i jej przyjęciu przez publiczność. Niezwykle płodny kompozytor Gioacchino Rossini, autor 39 oper, z których tylko kilka oparło się czasowi, a żadna w tym stopniu co „Cyrulik sewilski", skomponował muzykę do swej najsłynniejszej opery w ciągu trzynastu dni. Wykazał przy tym dużą odwagę, bo podjął się napisania muzyki do dzieła Beaumarchais · już jako siódmy z kolei kompozytor. Po nim było jeszcze pięciu i z dwunastu oper napisanych do libretta na podstawie Beaumarchais do dziś naprawdę przetrwało tylko dzieło Rossiniego.

Opera została na prapremierze przyjęta tak, że do anegdot o kompozytorze weszło jego powiedzenie: „Kto był na premierze mego „Cyrulika sewilskiego", tego żadne świsty i syki nie przerażą". Ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ i już po drugim przedstawieniu tłumy wiwatowały na część Rossiniego.

Łodzianie mają okazję oglądać „Cyrulika sewilskiego" po raz drugi. Pierwszy raz wystawiła go „dawna" Opera Łódzka w 1960 roku. Prawie z rozrzewnieniem ogląda się dziś zdjęcia z tamtego spektaklu sprzed przeszło ośmiu lat i... rozpoznaje w niektórych partiach tych samych wykonawców: Tadeusza Kopackiego, Romualda Spychalskiego (wówczas jeszcze jako tenora, w partii Almavivy), Stanisława Michońskiego, Marię Narkiewiczową.

Tym razem oglądałam przedstawienie nie premierowe, a trzecie z kolei, 20 lutego i tego właśnie moje uwagi będą dotyczyć. Pierwsza trudność, o której na początku pisałam, została pokonana zwycięsko. Powiedzieć trzeba, że nasz Teatr Wielki ma w swoim zespole gwiazdy pierwszej wielkości, których nie powstydziłaby się żadna scena operowa. W pierwszym rzędzie zaliczam do nich **Teresę May-Czyżowską i Andrzeja Saciuka.** Piękny, szlachetnie brzmiący i doskonale wyszkolony głos tej śpiewaczki zabłysnął nowym blaskiem w koloraturowej partii Rozyny. Tą partią Teresa May-Czyżowska pokazała szerokie możliwości wokalne i techniczne, rozpoczynając swój popis śpiewaczy słynną arią Rozyny z aktu pierwszego.

Znakomity śpiewak i utalentowany aktor Andrzej Saciuk raz jeszcze w partii Don Basilia pokazał najwyższą klasę wokalną. Jego aria o plotce to prawdziwa perła mistrzowsko wykonana. Cóż za głos, jaka kultura, jaka dykcja! Z tej arii nie uleciało ani jedno słowo, wszystkie dotarły do widowni.

Z przyjemnością i satysfakcją słucha się również **Zdzisława Krzywickiego** w partii Doktora Bartolo. Śpiewak ten jest cennym nabytkiem naszej Opery. Dysponuje czystym, ładnie brzmiącym, dobrze wyszkolonym głosem. Mnie osobiście podobało się, że Bartolo Krzywickiego, wbrew tradycjom, był raczej sympatyczny, aktorsko nie przejaskrawiony. W partii Almavivy usłyszeliśmy Tadeusza Kopackiego, którego znamy i podziwiamy od dawna, na łódzkiej scenie. Pamiętam jego Almavivę sprzed ośmiu lat. Obecnie stworzył bodaj dojrzalszą aktorsko postać, sympatyczną i przekonywającą, zagraną z właściwym mu poczuciem humoru. Wydaje się jednak, że trwająca od pewnego czasu niedyspozycja głosowa powinna obudzić niepokój tego utalentowanego, posiadającego świetne warunki głosowe i sceniczne śpiewaka. **Jerzy Jadczak** w tytułowej partii Figara dysponujący dobrym, dobrze postawionym głosem był w miarę ruchliwym, sprytnym i sympatycznym balwierzem. Z satysfakcją wita się na scenie **Marię Narkiewiczową** w partii Marceliny. Jestem od wielu lat wielbicielką talentu tej śpiewaczki. Maria Narkiewicz posiada rzadko spotykany tej skali mezzosopran, czysty i pięknie brzmiący. Jest ona może zbyt rzadko wykorzystywana na naszej scenie operowej.

Przy okazji pozwolę sobie zacytować (z programu) fragment umowy o „Cyrulika sewilskiego" zawartej między dzierżawcą Nobil Teatro di Torre Argentina, a kompozytorem, dnia 26 grudnia 1815 roku (premiera przedstawienia odbyła się w lutym 1916 r.!).

„(...) Wyżej wymieniony Rossini obiecuje i zobowiązuje się skomponować i przygotować do wykonania scenicznego drugą z kolei operę komiczną (...) a to opierając się na libretcie, które mu wręczy rzeczony impresario, bez względu na to czy owo libretto będzie stare czy nowe. Maestro zobowiązuje się doręczyć swoją partyturę w połowie miesiąca stycznia, to jest w ciągu trzech tygodni i tęże dostosować do głosów śpiewaków, dalej zobowiązuje się dokonać w niej w razie potrzeby wszelkich zmian, które będą konieczne dla dobrego wykonania muzyki jak też dla dogodności albo wymagań śpiewaków (...).

Cytuję ten fragment nie tylko gwoli zabawienia i zadziwienia czytelników ówczesnym tempem pracy. Chodzi mi jeszcze o coś innego. Jak widać, z takiego typu współpracy, dziś nadzwyczaj rzadko praktykowanej: opery na zamówienie — rodziły się dzieła o nieprzemijającej wartości. Zdarzają się i dziś takie przypadki — choćby „Romans gdański", który powstał jeśli nie na zamówienie, to w praktycznej współpracy teatru z kompozytorem, ale to raczej wyjątek. Ta forma współpracy powinna być szerzej praktykowana. A także zasada „dogodności albo wymagań śpiewaków", którą rozumiem między innymi jako wystawianie oper dla pokazania pewnych solistów, ich talentów. Teatr Wielki ma takie głosy i do nich zaliczam Marię Narkiewiczową.

Przedstawienie przygotował i opracował muzycznie Józef Klimanek — starannie, czysto i z temperamentem. Zespół orkiestrowy jest do tej opery podzielony na dwie grupy i wydaje mi się, że trafiłam na „drugą obsadę" — trochę chyba wówczas jeszcze niedotartą. Stąd nieporozumienia w uwerturze, które zapewne już się nie powtarzają.

Dobrze chyba, że reżyseria **Ryszarda Sobolewskiego** poszła w kierunku wydobycia komizmu opery, jednak bez przerysowań, z taktem, umiarem, bez tanich efektów co sprawiło, że na scenie panuje przede wszystkim piękna, melodyjna muzyka Rossiniego. Do **Stanisława Bąkowskiego,** autora scenografii, mniej może tym razem efektownej i barwnej niż się przyzwyczailiśmy oglądać w Teatrze Wielkim, ale prostej i funkcjonalnej, mam pretensję o to, że kazał Rozynie występować przez cały czas w jednej sukni. A do sceny ślubu aż się prosiło o zmianę toalety zwłaszcza, że zmienił swoją hrabia Almaviva. Ale to oczywiście nie ma żadnego istotnego znaczenia dla przedstawienia.

W sumie „Cyrulik sewilski" na scenie Teatru Wielkiego jest jeszcze jedną udaną pozycją repertuarową, widzę już autokary z Warszawy i długi żywot wśród publiczności łódzkiej, czego przedstawienie jest naprawdę warte.

„Cyrulik sewilski" opera komiczna w dwóch aktach. Muzyka: Gioacchino Rossini, libretto: Cesare Sterbini według Beaumarchais, kierownictwo muzyczne: Józef Klimanek, inscenizacja i reżyseria: Ryszard Sobolewski, Scenografia: Stanisław Bąkowski, choreografia: Witold Borkowski.

„Cyrulik sewilski" — akt I. Teresa May-Czyżowska i Jerzy Jadczak.

TP OBIEKTYW

2 tygodnie bez telewizji

Z ciekawością oczekiwałem reportażu filmowego z cyklu „Ludzie i zdarzenia" pod tytułem „2 tygodnie bez telewizji" (23. II). Wielokrotnie podkreślałem już na tym miejscu, że fascynuje mnie wszechstronny wpływ telewizji na nasze życie. Wczepiła się w nie tak mocno, że zapomnieliśmy niemal, że dawniej żyliśmy bez niej i... też było dobrze.

Tak, ale przyzwyczajenie stanowi ponoć drugą ludzką naturę. W dodatku telewizja jest czynnikiem dość agresywnym. Niema i głucha skrzynka telewizora w godzinach wieczornych to niemal wyrzut. Ręka bezwiednie sięga do wyłącznika, by uruchomić aparat. A jeśli nawet nie czynimy tego, wystarcza nam świadomość, że w naszej mocy jest zorganizowanie sobie spektaklu telewizyjnego w każdej chwili.

Telewidzowie o dłuższym stażu pamiętają, że w pierwszych latach wtorek był dniem bez programu TV. Dzień ten był jakiś pusty, jałowy. A teraz wyobraźmy sobie dwa tygodnie bez telewizji. Dwa tygodnie, bo tak długo trwały prace konserwacyjne przy bydgoskim nadajniku, wskutek czego tamtejsi telewidzowie pozbawieni byli programu.

Nie należę do fanatyków telewizji. Mimo profesjonalnego nią zainteresowania dokonuję skrupulatnego wyboru programów, które mnie interesują. Taki stosunek do telewizji zalecałbym każdemu. Ale mam świadomość tego, że gdy coś mnie w programie zafrapuje, mogę uruchomić telewizor. Gdy mi się odbiornik popsuje, wzywam specjalistę do reperacji i wkrótce znów wraca poczucie, że ode mnie tylko zależy, czy będę oglądał program.

W Bydgoszczy było inaczej. Nie było tam rezerwowego nadajnika uprzedzono więc lojalnie telewidzów i przerwano na czternaście dni emitowanie programu. Reporter Telewizji Warszawskiej, rzekomo zainteresowany szczególną sytuacją, jaka się wytworzyła, udał się do Bydgoszczy dla zbadania, jak to sobie ludziska bez telewizji radzą.

Piszę, że reporter był rzekomo zainteresowany. No, tak. Bo gdyby istotnie zależało mu na zbadaniu sprawy, wziąłby się do rzeczy chyba w mniej niedbały sposób. Po prostu pojechał do Bydgoszczy, ze z góry założoną formułą. Przypominał człowieka, który zadaje bliźnim pytania, ale nie czeka na odpowiedź, bo i tak sam wie najlepiej.

Trudno, oczywiście, przewidywać jakieś głębsze skutki społeczne czternastodniowego milczenia telewizji. Istniała jednak możliwość przebadania tego chwilowego zakłócenia w życiu mieszkańców Bydgoszczy. Można było odkryć przy tej okazji nieco prawd związanych z nową obyczajowością i z zakresem wpływu, jaki ma na współczesne społeczeństwo najbardziej masowy środek przekazu.

A co otrzymaliśmy w zamian na ekranie? Zlepek wyrywkowych, jednostajnych w tonie wypowiedzi przypadkowo zaczepionych na ulicy przechodniów. Testowani, na pytanie, jak sobie radzą bez programu telewizyjnego, odpowiadali stereotypowo. Najczęściej powtarzała się odpowiedź: czytam książki, chodzę do kina, wysypiam się. Reporter ograniczał się do zadania jednego pytania, nie usiłował pogłębić, czy rozbudować pojemności informacyjnej otrzymywanych odpowiedzi. Zadowalał się banalnymi odzywkami, pierwszymi, jakie się zagadniętym nasuwały.

Z gruntu żałośnie wypadła dalsza część „społecznego zwiadu" podjęta przez reportera. Tym razem pytania swoje kierował do przedstawicieli instytucji, które w pewnym sensie mogą rekompensować brak programu telewizyjnego. A więc kino, teatr, klub książki i prasy, wypożyczalnia książek, księgarnia, nawet restauracja. Pytanie znów było niezmienne: czy w danej instytucji odczuwa się wzmożone zapotrzebowanie na usługi w okresie telewizyjnego postu?

Odpowiedzi wypadały różnie. Kasjerka w kinie stwierdzała pewne zwiększenie frekwencji. W teatrze nie potwierdzono tego spostrzeżenia Kierownik klubu dał odpowiedź, która podważyła sensowność całego testu: grypa spowodowała zmniejszenie się frekwencji. A więc nowy czynnik, który pojawił się nagle i pokrzyżował prostoduszny zamysł reportera: grypa. Jak sobie poradzić z tym elementem, który paskudnie zamazuje obraz relacji między brakiem programu TV i frekwencją w miejscach publicznych?

Słowem cała konstrukcja reportażu okazała się wadliwa. Pozorując badania socjologiczne, redaktor Jerzy Wunderlich (bo to on był owym wspomnianym już kilkakrotnie reporterem) dał próbkę bezwartościowego montażu przypadkowych wypowiedzi. Próbkę która w żadnym stopniu nie wzbogaciła wiedzy o roli i znaczeniu telewizji w naszej rzeczywistości. Reportaż ten był smutnym przykładem zaprzepaszczenia szansy na powiedzenie nam na ten temat czegoś interesującego.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

O Aleksandrze Astruc zwykło się mówić jako o prekursorze francuskiej „nowej fali", zwiastunem jej były znane i u nas „Niedobre spotkania". W większości realizowanych przez siebie filmów Astruc konsekwentnie podejmuje jeden temat zamknięty najczęściej w formule dramatu psychologicznego. Tematem tym jest kobieta, jej psychika, jej miejsce w świecie współczesnym.

Studium psychologicznym kobiety jest również wchodzący na nasze ekrany film Astruca „IMIONA MIŁOŚCI". Ta opowieść o kobiecie zbuntowanej i wiecznie poszukującej dotyka jednego z najistotniejszych zagadnień współczesnej obyczajowości społecznej, która otwierając kobiecie zamknięte przez wieki drogi, nie uwolniła ją z nagromadzonego bagażu obyczajowych przyzwyczajeń, a co istotniejsze nie odmieniła jej natury.

Anna — bohaterka filmu walczy przede wszystkim o prawo do wolności osobistej. Współczesność formalnie prawo to jej dała, życie postawiło jednak przed nią jedyną możliwość — wybór zależności od mężczyzny bądź samotność. Anna wybiera samotność. Czyni to jednak wbrew swej naturze. Jej walka jest walką z samą sobą, z własną kobiecą naturą, która nie jest na tyle silna, aby sięgnąć po ową niezależność, którą jej formalnie przyznano.

W marzeniu o tym, by móc decydować o własnym życiu, w poszukiwaniu owej niezależności Anna przegrywa. Odejście od męża, dało tylko pozór wolności, ramiona i miłość drugiego mężczyzny uczyniły ją znów zależną, co więcej nie uwolniły jej od jej małżeńskiej miłości. Świadomość tego każe jej wybrać samotność. Ucieczka nie jest jednak wygraną, jest początkiem dalszych poszukiwań i następnych porażek. Anna nie przezwycięży swej natury, nie wygra swej walki, gdyż partnerzy, których spotyka nie zmienili się wiele, a przemiana stosunków społeczno-obyczajowych dała tylko złudę wolności.

Cechą wyróżniającą styl tej opowieści jest fakt, że wbrew przypuszczeniom, które nasuwałby sam temat, dzieje Anny, historie jej miłości i walki pokazane są jak gdyby od zewnątrz. Postacie mężczyzn z życia Anny nigdy nie są pokazane przez pryzmat jej odczuć i wrażeń. Trójkę bohaterów, ich działanie i reakcje oglądamy i oceniamy my sami, z tej podpatrzonej rzeczywistości własnej każdego z bohaterów wybieramy elementy poddające się tej ocenie. Dzięki tej metodzie uniknął Astruc banału, w który łatwo było popaść, gdyby prawdy o Annie i jej partnerach szukać tylko w jej widzeniu świata.

Gdy mowa o Annie nie sposób nie wspomnieć o aktorce, która użyczyła jej swą psychofizyczną realność. Astruc dokonał wyboru bezbłędnego, powierzając tę rolę jednej z najbardziej fascynujących aktorek współczesnego kina — Annie Girardot, przy której piękność wielu kobiecych sław ekranu wydaje się blaskiem fałszywym i banalnym.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

200 LAT BAJEK KRYŁOWA

● W lutym przypadła 200-setna rocznica urodzin wielkiego bajkopisarza rosyjskiego Iwana Andriejewicza Kryłowa. W całym Związku Radzieckim uroczyście obchodzono tę rocznicę. W wielu miastach odbyły się sesje

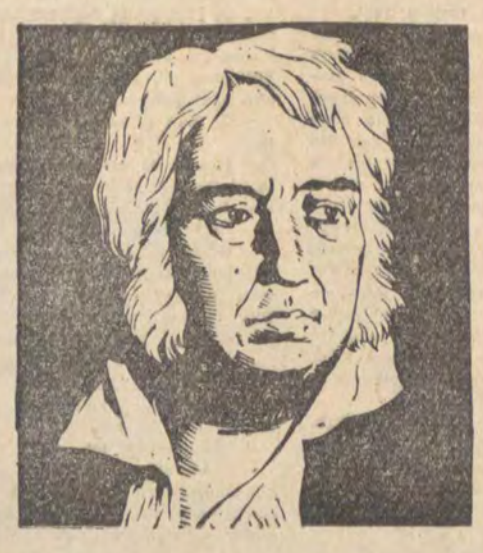

Iwan Andriejewicz Kryłow
Rysunek A. Lewickiego

naukowe, odczyty i zebrania. W bibliotekach otwarto jubileuszowe wystawy. Bajki Kryłowa drukuje się w Związku Radzieckim w milionowych nakładach w 52 językach narodów ZSRR. W dniach rocznicy wydawnictwa radzieckie wydały 40 tytułów książek Kryłowa w ogólnym nakładzie 23 milionów egzemplarzy. Wypuszczono także kolorowe odkrytki z ilustracjami do bajek Kryłowa i płyty gramofonowe z bajkami w wykonaniu znanych aktorów radzieckich.

Przypomnijmy, że Kryłow, obok Ezopa i Lafontaine'a należy do najznakomitszych bajkopisarzy świata. Chociaż jest autorem ponad 200 bajek, był także dramaturgiem i publicystą. Już jako 15-letni chłopiec napisał w Petersburgu operę komiczną pt. „Kofiejnica" (Kawiarka). Próbował swych sił w tragedii, ale wkrótce napisał kilka komedii obyczajowych (Szalona rodzina, Psotnicy, Autor w przedpokoju). Sztuki nie zostały wystawione na scenie ze względu na radykalizm społeczny młodego autora. Redagował też kilka pism satyrycznych, pisał felietony, artykuły publicystyczne, opowieści itd. Opuścił Petersburg narażiwszy się władzom carskim. Podróżował po prowincji, by wrócić znów do pisarstwa. Pisał dramaty m. in. „Podszczypa, czyli Triumf" sztukę będącą ostrą satyrą na rządy Pawła I i parodią klasycznej tragedii. Po napisaniu kilku komedii i stworzeniu baśniowej opery patriotycznej poświęca się całkowicie bajkopisarstwu. Twórczością tą zdobywa szeroki rozgłos w kraju i za granicą. Jeszcze za życia tłumaczony był na 10 języków obcych.

WYSTAWY HARTUNGA

● Prasa francuska poświęca ostatnio sporo miejsca omówieniu twórczości Hansa Hartunga, którego dwie wystawy otwarte zostały w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu. Pierwsza to wystawa retrospektywna, druga gromadzi wyłącznie litografie.

Przypomnijmy, że jeden z obrazów, bardzo reprezentatywny dla twórczości Hartunga, mogliśmy oglądać na niedawnej wystawie współczesnego malarstwa francuskiego w łódzkim Muzeum Sztuki.

Hans Hartung urodził się jako syn lekarza w Lipsku w 1904 r. Bardzo wcześnie rozpoczął studia artystyczne które odbywał w Lipsku, Dreźnie i Monachium. W czasach swej młodości przebywał także w Szwajcarii. Kilkakrotnie odwiedzał Francję, a w 1935 r. uchodząc przed hitleryzmem, przeniósł się z Niemiec do Francji na stałe. Mieszka w Paryżu do dziś i jest obywatelem francuskim. Podczas wojny w jednej z bitew traci nogę. Za zasługi wojenne otrzymał francuskie odznaczenie wojskowe.

Hans Hartung wystawiał swe obrazy w wielu miastach całego świata uzyskując liczne nagrody i wyróżnienia. M. in. zdobył Wielką Nagrodę weneckiego biennale. Żoną Hartunga jest malarka, Szwedka z pochodzenia, Anna-Eva Bergman.

Hans Hartung początkowo w swej twórczości pozostawał pod wpływem fowistów i ekspresjonistów, zwłaszcza Oskara Kokoschki, następnie w ciągu trzydziestoletnich poszukiwań artystycznych, wypracował sobie własny styl twórczy określany jako spontaniczny grafizm.

MUZEUM LEGERA PRZEKAZANE PAŃSTWU

● W Biot we Francji odbyła się ostatnio uroczystość oficjalnego przekazania Francji muzeum Fernanda Legera. W uroczystości wzięli udział m. in. minister Malraux, ambasador ZSRR W. Zorin i wielu wybitnych przedstawicieli władz francuskich i środowisk artystycznych.

Fernand Léger

Aktu darowizny muzeum, którego kamień węgielny został położony w dniu 11 listopada 1957 roku, dokonali wdowa po malarzu Nadia Leger i kustosz muzeum Georges Beauquier. Dodajmy, że Nadia Leger, malarka, uczennica Strzemińskiego, jako Wanda z domu Chodasiewicz, żona polskiego malarza Grabowskiego, przebywała przed ostatnią wojną w Polsce.

Ofiarowane muzeum, w którym znajduje się stała ekspozycja dzieł Legera, jest pięknym budynkiem wzniesionym w malowniczej okolicy. Fronton muzeum zdobi ogromna mozaika o powierzchni 400 m2 wykonana na podstawie projektu Legera. Od strony północnej znajduje się wspaniały witraż również według projektu zmarłego malarza.

Fernand Leger (1881—1955) jeden z najwybitniejszych malarzy naszych czasów był kubistą, który wypracował sobie własny, oryginalny styl. Prócz malarstwa, któremu się głównie poświęcił, projektował dzieła tkactwa artystycznego, witraże, ceramikę, robił dekoracje teatralne.

Uroczystość przekazania muzeum państwu zbiegła się z 88-leciem urodzin Fernanda Legera. Z tej to okazji otwarto w Paryżu wielką wystawę rzeźby, ceramiki, tkactwa artystycznego i litografii Legera.

O BALECIE BEJARTA

● W związku z występami baletu Bejarta, najsłynniejszego obok Rolanda Petit kierownika baletowego we Francji, paryski tygodnik „l'Express" podaje szereg informacji o francuskim balecie i samym Bejarcie. Dowodem olbrzymiej popularności tego oryginalnego choreografa, jest choćby to, że na najświeższy występ jego zespołu wykupiono na długo przed spektaklem 800.000 biletów. Słynne były pokazy baletowe Bejarta takie jak „IX Symfonia", która przyciągnęła 335.000 widzów, czy „Romeo i Julia" spektakl, który obejrzało 298.000 widzów. Prawdziwy sukces przyniósł Bejartowi występ baletu w Grenoble poświęcony pamięci wielkiego poety francuskiego Baudelaire'a.

Balet we Francji, jako rozrywka dworu królewskiego, datuje się od XVI wieku, początkowo jako występy amatorskie w Luwrze i Wersalu. Odtąd balet we Francji cieszy się coraz to większym uznaniem, by wreszcie z końcem XIX i w początkach XX wieku przeżyć swój kryzys. Wyjątkowym zjawiskiem na tle ogólnego upadku sztuki baletowej w Europie jest w tym czasie rosyjski balet Diagilewa, który w 1909 r. odnosi wielkie sukcesy w Paryżu. Zespół ten podziałał ożywczo na całą sztukę baletową. Miał świetnych, światowej sławy tancerzy, korzystał ze współpracy najwybitniejszych muzyków, malarzy i poetów takich jak Cocteau, Strawiński, Ravel, Poulenc, Picasso, Matisse, Utrillo, Braque. Wpływ baletu Diagilewa zaznacza się do dzisiejszego dnia.

Bejart, który bardzo szeroko pojmuje zadania baletu i który twierdzi, że tańcem można wyrazić wszystko, uważa balet za sztukę naszych czasów, podobnie jak dla wieków XVI i XVII był nią teatr, a dla wieku XVIII i XIX — opera.

Bez strachu

KOBIETY

Poznana kiedyś kobieta uporczywie zakazała mi noszenia zielonych krawatów i nakazała nosić krawaty niebieskie. „Będziesz nosił niebieski krawat, piękny niebieski krawat" powtarzała wielokrotnie z zachwytem w oczach. I oto dzisiaj, po wielu latach ubierając się myślałem z satysfakcją „Zawiązuję niebieski krawat, piękny niebieski krawat" — dopiero po kilku minutach gdy siadłem przy stole do felietonu, uprzytomniłem sobie, że myśli i słowa o niebieskim krawacie, przyjemność związana z posiadaniem niebieskiego krawata nie zostały przeze mnie stworzone — zostały mi udzielone, podarowane niejako przez kobietę. Zażywałem tych przyjemności nie pamiętając, że to podarunki — rzeczy dane raz na zawsze, zrośnięte ze mną. Podobnie kakaowy garnitur i zamszowe buty. „Będziesz" dźwięczał przed laty słodki głos „nosił kakaowy garnitur i zamszowe buty". Na wazonie stoją kwiaty, oglądam je, wącham, muskam policzkami. Kiedyś nie lubiłem kwiatów, nie wiedziałem o nich wiele, nie wiedziałem, że można je oglądać, wąchać, muskać policzkami — braterstwo z kwiatami, miłość do kwiatów, intensywne dostrzeganie kwiatów — nauczyła mnie tego kobieta. Wcale nie byłem pojętnym uczniem — kobiety pracowicie z wielkim talentem pedagogicznym uczyły mnie przez całe lata miłości kształtów i kolorów. Uczyły mnie, że intensywne oglądanie jest przywłaszczaniem dla siebie tego co powinniśmy dostrzegać i pragnąć. Podarowały mi uporczywy nocny brzęk deszczu, białe płaty obłoków, skoszoną trawę pod gwiazdami. Dzięki kobietom jestem przeobrażony, umiem dostrzegać i przeżywać. Kiedyś przed kobietami musiałem być automatyczny, może martwy, może nie istniałem. Urodzony przez kobietę nigdy już nie zostałem wypuszczony z kobiecych rąk — trzeba mnie było myć, ubierać, uczyć słów i myśli. I dzisiaj żyję otoczony przez niewidzialne pieluszki, kołysany, karmiony, uczony najprostszych rzeczy. Kobiety mnie stworzyły i bezustannie w każdej godzinie mnie stwarzają — podtrzymywany ich oddechem unoszę się nad krawędzią niebytu. I oto nadszedł dzień, w którym kobiety uznały, że muszą zostać przed miotem moich nauk. Poczęły pokazywać mi kształty, kolory i zapachy swoich włosów, kolor i blask oczu, miękkie falowanie ciał. Każda z kobiet uczyła mnie nie tylko siebie, ukazywała także inne kobiety, uczyła ich urody i ciepła i barwy. Kobiety nauczyły mnie tego, że jestem mężczyzną wiem to poufnie, ale intymnie właśnie od nich. Ale na długie lata przed uprzytomnieniem mi tego faktu, budowały ze mnie mężczyznę — tak więc tego dnia kiedy ukończyły budowę — powiedziały „Proszę, oto już jesteś mężczyzną — aby być mężczyzną trzeba także wiedzieć o tym, że się nim jest i oto udzielamy ci tej wiedzy". Kończę już z pełną wiedzą, że jestem wytworem kobiet. Ale kto stworzył kobiety, kto wyposażył je w te wszystkie nieskończone umiejętności? Bardzo pragnę to wiedzieć, ale czy może skutek ogarnąć przyczynę?

BERNARD SZTAJNERT

Od niedzieli do niedzieli

POLSKA KLUBÓW CZYLI SAKSOFONISTA W WC

CZY W KLUBIE MOŻNA SPAĆ? — ZMS W PAŁACU ENDERA — MŁODOŚĆ JEST RĄCZYM KONIEM — MAŁŻEŃSTWO ZMS—CRZZ — LAMPKA WINA CZYLI ĆWIARTKA WÓDKI

Za koszmarnych czasów sanacji mieliśmy niemało arystokratycznych i mieszczańskich salonów o czym łatwo się przekonać oglądając telewizyjny program „w starym kinie", gdzie pan Stanisław Janicki prezentuje nam dramaty z życia wyższych sfer. Obecnie salonów także nie brak — na przykład pralniczych czy obuwniczych — ale to już raczej temat do komedii.

Inna rzecz z klubami. Na angielskich filmach z eleganckiego świata widzimy jak małżonek po scysji z połowicą opuszcza domostwo i idzie nocować do swego klubu. Polski małżonek w analogicznej sytuacji idzie po prostu na wódkę. Czy to znaczy, że klubów nie ma? Skądże! Dziś możemy z dumą powiedzieć, że żyjemy w Polsce klubów. W wielu z nich spać nawet można — tyle że z nudów.

Ale nie o nich chciałem dziś mówić. Otóż zaprosił mnie wojewódzki ZMS do Pabianic na otwarcie siódmego z kolei w tym mieście klubu młodzieżowego „Przy kominku". W dawnym pałacu przemysłowca Endera, gdzie dziś mieści się Dom Kultury pabianickich zakładów bawełnianych, otwarto uroczyście (na stolikach kwiaty, na sali kwiat dyrekcji) rzeczony klub przy autentycznym kominku.

No i pięknie — jest siódmy klub, będzie ileś tam więcej prelekcji, spotkań autorskich, kółek zainteresowań, jeszcze jeden zespół muzyczny... Czy to mało? I tak i nie. Oczywiście to dobrze, że jakaś grupa młodzieży będzie miała swoje własne miejsce na ziemi, swoje poletko do działania. Bieda jednak w tym, że formy pracy zarówno w tym nowym klubie, jak i w pozostałych są przestarzałe, że wszystko tu kręci się wokół utartych szablonów typu zespół estradowy, odczyty TWP, spotkanie z tzw. ciekawym człowiekiem, który nieraz mówi wcale nieciekawie.

Zdaję sobie sprawę, że łatwiej wołać gromkim głosem o ciekawe, odkrywcze i nowe formy pracy — trudniej je wymyślić i zrealizować. Ale to przecież — jak mówi wschodnie przysłowie — młodość jest rączym koniem, który przez promień słoneczny przeskoczy. Niech więc przeskoczy sztampę i nudę w działalności kulturalno-oświatowej klubów, niech ożywia martwotę zrutynizowanych domów kultury, gdzie gra się głównie w bilard i brydża z krótkimi przerwami na występ dukającego prelegenta.

W Pabianicach przedstawiciele dyrekcji zakładów, którym podlega dom kultury w poenderowskim pałacu nie ukrywali, że właśnie od zetemesowców tego ożywienia oczekują. Ale w tym samym czasie kiedy mi to mówiono — zespół muzyczny zakładowego domu kultury zamknął przed nosem „tych z ZMS-u" swoją muzyczną aparaturę, żeby „obcy" przypadkiem na niej nie zagrali. Ten drobny fakt zapowiada więcej niebezpieczeństw niż radośnie wieszczą oficjalne, optymistyczne słowa.

Wiem skądinąd, że zanosi się na porozumienie w sprawie wspólnej, skoordynowanej działalności k. o. między CRZZ a Związkiem Młodzieży Socjalistycznej. Pierwszą jaskółką w tym względzie była ogólnopolska narada w Jaszowcu. Myśl jest przednia — przemysł i związki mają tzw. środki — ZMS ma potrzeby i wielotysięczną kadrę.

Podobne porozumienie zawarto przed paroma laty między CRZZ a Ministerstwem Kultury. Chodziło tam m. in. o udostępnienie związkowych placówek k. o. ogółowi mieszkańców. Dziś, po latach, można stwierdzić, że wygląda to nie najlepiej. Ostatnio odwiedziłem pewien klub zakładowy z olbrzymią salą, pięknym pomieszczeniem na wysoki połysk (dębowe boazerie, dywany, fotele...). Do klubu prowadzą drzwi z ulicy z ominięciem fabryki, ale są one zamknięte na żelazną sztabę. „Tych z Abramowskiego tu nie wpuścimy" — mówi człowiek z rady zakładowej. No i nie wpuszczają. W pomieszczeniach wybudowanych za grube setki tysięcy złotych parę osób gra w brydża, odbywają się konferencje aż do szczebla zjednoczenia oraz tradycyjne lampki wina. Mój poprzedni szef redaktor miał na ten temat ustalony pogląd. „Tradycyjna lampka wina — mawiał — czyli ćwiartka wódki na głowę".

Rzecz prosta nie jestem przeciwnikiem ani lampki ani ćwiartki — należą one do naszego folkloru. Nie jestem też przeciwnikiem brydża, ale... Jeśli w fabrycznym klubie ćwiczy sobie amator-saksofonista i czwórka panów grających w brydża, każe mu być cicho, bo rober ważniejszy? W efekcie saksofonista ćwiczy gamy i pasaże w ubikacji. To być może jest temat do komedii nie do felietonu, ale to jest po prostu duży skandal.

Przede mną leży pożółkły dokument sprzed lat paru, w którym instancja partyjna dzielnicy Śródmieście postulują, aby zakład o którym piszę udostępnił swą placówkę okolicznym mieszkańcom. Nie udostępnił. Mimo postulatów KD Partii, mimo porozumienia CRZZ — Min. Kultury. A fakty powyższe, to „doniesienia z ostatniej chwili".

Cóż dodać może do nich felietonista? Może się tylko pocieszać, że mariaż ZMS i CRZZ w sprawach upowszechniania kultury, będzie miał bardziej pomyślny finał. Przecież młodość jest rączym koniem, który przez promień słoneczny przeskoczy. Co prawda nie wschodnie, lecz środkowoeuropejskie przysłowie mówi „nie podskakuj, siedź na... zresztą po co szczegóły — i potakuj" — ale myślę, że ZMS jednak podskoczy. Byle skutecznie.

JERZY WIDOK

A. H. Z. CARR

Gdy człowiek spotyka człowieka

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

— A więc jestem stracona — powiedziała cicho.

— Jest tylko jeden promyk nadziei, oczywiście jeżeli pani mówi prawdę. Motyw. Morderstwo jest wyrazem charakteru. Jeżeli pani potrafi przekonać sędziów, że morderstwo nie leży w pani charakterze, to może pani mieć jakąś szansę. Aby zamordować Johna, musiała go pani nienawidzieć. Jeżeli pani przekona jurorów, że nie miała pani powodu, by go nienawidzieć, to nie było też motywu morderstwa. Ale on miał motyw do samobójstwa, sama pani o tym wie. W gazecie piszą, że jechała pani samochodem z jakimś mężczyzną, którego nazwiska nie ujawniają i że mieliście wypadek samochodowy. Kim był ten mężczyzna?

— Piotr Mount — odpowiedziała niechętnie. — Ale on nie miał nic wspólnego z tym co się stało.

— Niechże pani sama siebie nie oszukuje. Mount jest zamieszany w tę sprawę. Chyba, że pani się przyzna i powie, że działała w chwili zaburzenia umysłowego.

— Nie, nie zrobię tego.

— No dobrze. Prokurator nie będzie miał żadnych względów. Przy najmniejszej podstawie zrobią z was typowy trójkąt, z należytym naciskiem położonym na stronę seksualną. I wtedy znajdą motyw morderstwa.

— Ależ wcale tak nie było. Nie miałam z nim żadnego romansu. Znaliśmy się od dziecka, kiedyś kochaliśmy się w sobie, lecz potem on wyjechał. Spotkałam go całkiem przypadkowo wczoraj.

— Dlaczego wrócił? Aby panią zobaczyć?

— Nie, spotkaliśmy się w znajomym domu. Chciał, abym poszła z nim na obiad, ale powiedziałam, że mam obiad gotowy w domu dla Johna; Piotr był po paru wódkach. Gdy wychodziłam, wybiegł za mną, wsiadł do swego wozu i zaczął jechać za mną. Właśnie wtedy najechałam na drzewo, rozbiłam wóz. Pokłóciliśmy się na dobre, ale Piotr powiedział, że da nam na razie swoją maszynę, bo mieszkamy daleko i trudno dać sobie radę bez samochodu. Zadzwoniliśmy do garażu, aby przyjechali po mój rozbity samochód. Próbowałam też telefonować do Johna, ale nikt się nie odzywał w domu. Piotr odwiózł mnie i powiedział, że chce zobaczyć się z Johnem, aby go przeprosić. Wydało mi się to niezłą myślą, mogliby od razu ustalić sprawę ubezpieczenia. Ale Johna nie było. Zrobiłam cocktaile.

— Coraz gorzej. Prokurator wpadnie w zachwyt. Mąż nieobecny. Pani przyprowadza do domu swą dawną miłość i zabawia się piciem cocktaili. — De Groot westchnął. — No i co dalej?

— John zatelefonował z biura. Mieliśmy dość... trudną rozmowę.

— Pani Harrison, to nie jest żad na zabawa. Szukam faktów, które by mogły pani pomóc. Nie ma czasu na ukrywanie czegokolwiek przede mną.

— John był zdenerwowany, powiedział, że miał duże przykrości z jednym ze swych współpracowników, że chciałby wszystkich posłać do diabła. Prosiłam, aby nie działał na gorąco. Potem zapytał, czy piłam, bo głos mój jest całkiem zapijaczony. I na dodatek powiedział: „Oto moja kochająca żona. W biurze chcą mi poderżnąć gardło, a ty się tymczasem upijasz". Nie było to prawdą i pokłóciliśmy się dość ostro.

— Czy Mount słyszał to wszystko?

— Tak. Chcąc nie chcąc musiał słyszeć. Wiedziałam, że muszę Johnowi powiedzieć i o wozie i o obecności Piotra. — Drgnęła i przymknęła oczy. — John chciał wiedzieć, jak Piotr odnosi się do sprawy asekuracji. Potem nagle przypomniał sobie jego nazwisko. Wiedział coś niecoś o mnie i o Piotrze. Tę historię sprzed lat...

— Niech mi pani powtórzy jego słowa.

— Nigdy ich nie zapomnę. Powiedział: „Twój dawny boy-friend? Masz mnóstwo czasu, aby się zabawić. Ja wrócę za kilka godzin — rozpłakał się. — I wtedy właśnie rozzłościłam się na dobre. Powiedziałam, że robi z siebie idiotę, bo miał jakieś przykrości w biurze i teraz odgrywa się na mnie. I powiedziałam, że jest słabeuszem. Na to nic nie odpowiedział. Odwiesił słuchawkę.

De Groot skrzywił się wymownie.

— Tylko tego pani brakowało. Kłótnia w obecności świadka. Muszę przyznać, że jest pani odważna, aby w takich okolicznościach utrzymywać, że jest pani niewinna. A co było potem?

— Nic. Stałam przy telefonie i wściekałam się. Nie tylko na Johna. Na wszystko. Na Piotra. Na samą siebie. Na życie. Piotr chciał odejść, ale pomyślałam, że jeżeli John nie zastanie go w domu, wzmoże to jeszcze jego bzdurne podejrzenia.

— Prawdziwa niewinność — zauważył de Groot. — Może brzmi to sceptycznie, ale jako adwokat i człowiek nieżonaty staję się podejrzliwy, gdy żona szuka pretekstów, aby zostać sama z obcym mężczyzną. Większość sędziów będzie się podobnie na to zapatrywała. Będą chcieli wiedzieć, czy Mount został rzeczywiście po to, aby wyjaśnić sprawy z Johnem — czy też dlatego, że myślał, iż pani poszukuje przygody miłosnej.

— Nic podobnego. Naprawdę chciałam, aby spotkał się z Johnem.

— Im więcej pani mówi, tym bardziej obraz się zaciemnia.

Przyjmijmy, że Mount potwierdzi pani słowa. Któż mu uwierzy? Niech pani spojrzy na fakty z punktu widzenia ławy przysięgłych. Jest pani sama z nim w domu. Mąż zostaje dłużej niż zwykle w biurze, zdenerwowany różnymi przykrościami. A pani i ten obcy mężczyzna zasiadacie do obiadu, który był przygotowany dla męża. Dla sędziów będzie to motyw zbrodni — pozbyć się niewygodnego męża. Była pani rozgoryczona na niego i prawdopodobnie zakochana w innym mężczyźnie. Zażądała pani, aby mąż uwolnił ją od siebie, a gdy odmówił — zabiła go pani w napadzie wściekłości.

— Ale ja nie kochałam się w Piotrze. Nie miałam takiego motywu.

— Może to pani udowodnić? O czym rozmawialiście z Mountem?

— Wypytywał mnie o Johna. Starałam się go przedstawić w jak najlepszym świetle, ochłonęłam już po naszej głupiej kłótni. Wyciągnęłam fotografię Johna. Mount tylko się roześmiał. Potem zaczął opowiadać o teatrze i o swojej nowej roli. Opowiadał tak aż do powrotu Johna, gdzieś koło godz. 10. Jak tylko zobaczyłam wyraz jego twarzy, pomyślałam sobie, że będzie źle.

— I było?

— John podszedł od razu do Piotra. Powiedział „Mount, może pan wziąć sobie moją żonę, ale nie może pan bezkarnie rozbijać mego wozu. Chcę numer rejestracyjny i nazwę pańskiego towarzystwa asekuracyjnego". Panie de Groot, on nie myślał tego na serio, chciał tylko zrobić mi przykrość.

— Interesuje mnie to co powiedział. Czy to było wszystko?

— Nie. Powiedział jeszcze do Piotra „Gdy załatwimy sprawę asekuracji, będzie pan mógł wynieść się stąd. Może ją pan wziąć ze sobą, jeżeli pan ma ochotę". I wtedy Piotr go uderzył.

— Uderzył go? Pierwszy raz o tym słyszę. I co dalej?

— Po prostu mocno go uderzył i John upadł na podłogę. Minę miał całkiem oszołomioną. A ja stałam obok jak idiotka. Nie wiem co powiedziałam Piotrowi, ale kazałam mu odejść i poszedł. To jest odjechał.

— Jest pani pewna, że odjechał? Widziała to pani?

— Drzwi były zamknięte, ale słyszałam samochód.

— Więc na pewno nie może pani wiedzieć. Co dalej?

— John wstał, popatrzył na mnie i zaczął przeklinać. Nawet głosu nie podniósł, ale to chyba było jeszcze gorsze. Mówił straszne rzeczy, czułam, że zaraz wpadnę w histerię. Wtedy wyszłam i trzasnęłam drzwiami. Wiedziałam, że muszę odejść od Johna. Ale z drugiej strony czułam, że nie mogę go opuścić akurat w chwili, gdy wszystko mu się źle układa. Ostatecznie postanowiłam wrócić do domu. W chwili, gdy otwierałam drzwi frontowe usłyszałam strzał.

— Tylko jeden?

— Tak, tylko jeden. Z sypialni, gdzie John przechowywał swój rewolwer.

Pobiegłam na górę i zobaczyłam go.

— Siedzącego na krześle?

— Tak. Głowa opadła mu na jedną stronę. Ręka zwisała aż do podłogi.

— A potem?

— Już panu mówiłam. Zemdlałam. Nie wiem jak długo to trwało. Kiedy otworzyłam oczy ciało Johna leżało obok mnie na podłodze, dywan pod jego głową był zalany krwią. Zdaje mi się, że krzyknęłam. Potem usłyszałam samochód przed domem. Rewolwer trzymałam w ręku i zdołałam dojść do krzesła w chwili, gdy wchodzili policjanci. Jeden z nich powiedział, że dzwoniłam po nich. Nie bardzo rozumiałam co mówi i wówczas nie wydawało mi się to ważne.

— Albo pani kłamie, albo coś jest fałszywego w pani historii.

— Powiedziałam panu prawdę.

— Czyżby? Powiedziała pani, że w chwili pani wejścia do pokoju John już nie żył. Nie mogło tak być!

— Ależ widziałam go! Słyszałam strzał i potem widziałam Johna.

— Widziała pani ranę w jego głowie?

— Nie. Powiedziałam przecież, że zemdlałam.

— Tak. Spodziewała się pani, że John nie żyje i to właśnie zobaczyła pani. Ale nie zobaczyła pani rany, gdyż jej w ogóle nie było.

— Skąd może pan to wiedzieć? — oczy jej były pełne niedowierzania.

— Sama mi to pani powiedziała. Mówi pani, że gdy pani weszła do pokoju, rewolwer był jeszcze w ręku Johna.

Skinęła głową.

— I to jest błąd w pani historii; strzał w głowę zabił Johna momentalnie. Człowiek ze strzałem w środku czoła nie utrzyma broni w ręku. Rewolwer musi wypaść z jego palców.

— Co pan mówi? — Jej głos był ledwie słyszalny.

— Mówię, że John był żywy — nawet nie zraniony — gdy pani weszła do sypialni. A krew, jaką pani zobaczyła na dywanie pod jego głową? Gdyby zmarł siedząc na krześle, krew skapałaby na twarz i ubranie, może na krzesło. Nie byłoby jej na podłodze aż tyle, aby zwrócić pani uwagę.

— Ale strzał — upierała się. — Słyszałam przecież strzał.

— To musiał być ten, który utknął w lustrze.

— To wszystko jest bezsensowne. John musiał już nie żyć. Po co strzelałby do lustra? Dlaczego miałby udawać, że nie żyje?

— Oto klucz do całej sprawy. Niech pani spojrzy w głąb swego serca... Jaki był psychiczny stan Johna? Utracił szacunek, przegrywał sprawy, stracił pracę i stracił — lub wydawało mu się, że stracił żonę. Nastrój samobójczy? Naturalnie. To nie był specjalnie silny charakter. Wiedziała pani o tym, my w firmie także wiedzieliśmy. Silny mężczyzna będący w takim nastroju, zastrzeliłby się bez większych ceregieli. Nie tak John. On był egoistą. Litował się sam nad sobą.

Zaprotestowała ruchem ręki.

— To nie pora, aby przybierać konwencjonalne maniery — zirytował się de Groot — John szukał wyjścia. Chciałby mieć jakąś korzyść z samobójstwa, nie zabijając siebie faktycznie. Wyobrażał sobie pani rozpacz po odkryciu ciała. Widzę go, jak spogląda na rewolwer, a nie ma dość siły woli, aby pociągnąć za cyngiel. Wówczas usłyszał panią przy drzwiach. Musiał coś zrobić, odłożyć rewolwer lub wystrzelić. Nie mógł się zdecydować. Chciał udramatyzować swoje własne życie — a chciał też zemsty. Cóż naturalniejszego, jak impuls wystrzelenia rewolweru i nastraszenia pani.

— Nie rozumiem — odpowiedziała w zamyśleniu.

— Bo pani nawet nie próbuje. Niech pani pomyśli — tam on siedzi, a naprzeciw jest lustro. Widział w nim swoje odbicie. To by pasowało do jego charakteru. Symboliczne samobójstwo, strzał do własnego obrazu. Podnosi rewolwer, strzela do lustra, zwisa z krzesła. Po to, aby panią przestraszyć, może wpędzić w szok, może wywołać jakąś nierozważną uwagę.

Nastąpiła długa pauza.

Ale przecież ktoś musiał go zabić. Pan mówił, że ja go zabiłam.

— Ślady pani palców były na rewolwerze. Ślady prochu na pani dłoni. Tylko jeszcze jeden strzał wystrzelono z tej broni. Oczywiście, pani ręka oddała ten strzał!

— Więc pan nadal uważa, że ja jestem winna?

— Nie — potrząsnął głową. — Kiedy mi pani po raz pierwszy opowiedziała swoją wersję, uwierzyłem jej, gdyż była zbyt głupia, aby mogła być zmyślona. Teraz uwierzyłem z przyczyny odwrotnej. Aby zabić Johna, aby opowiedzieć tę historię i wydobyć ode mnie to wszystko co pani powiedziałem, musiałaby pani być mądrzejsza od diabła. Nie myślę, aby pani była aż tak mądra. Muszę zestawić te wszystkie części. Mój błąd polegał na tym, że chciałem zbadać dlaczego pani tak nienawidzi Johna. Nie zastanawiałem się nad tym, że to może on nienawidzi pani.

— Oh — powiedziała szybko. — To była tylko głupia kłótnia, nic poza tym.

— Może panią niegdyś kochał. Ale czy nie wie pani, co czuł w ostatnich chwilach swego życia? Była pani ośrodkiem jego obaw i nieszczęść. Czuł się przy pani słabeuszem. Kochała pani innego mężczyznę, a wobec niego odczuwała pogardę.

— Ależ wcale nie. Było mi tylko przykro, że...

— Mówię o tym, co on prawdopodobnie myślał. Chciał, aby pani tyle samo cierpiała, co on. Pociągnął za cyngiel i czekał na pani reakcję. Pani zemdlała, upadła obok niego na podłogę.

Impuls pchał go do samobójstwa i nienawidził pani. Chciał, abyście zginęli oboje. Nie miał odwagi umrzeć sam, ale gdyby mógł panią zabrać... Bał się też zabić panią. Zdawał sobie sprawę, że jeśli panią zastrzeli nie będzie już miał odwagi zabić siebie i poniesie karę za morderstwo. Wówczas przyszło mu do głowy, aby pani poniosła tę karę.

— Co pan tu mówi? — krzyknęła.

— Mówię, że nie pani zabiła męża, tylko on próbował zabić panią. I nieomal mu się to udało.

— Jak? Jakim sposobem?

— Widzę to jasno. Podszedł do telefonu, wezwał policję. Miał wysoko postawiony głos, wzięli go więc za kobietę. Tutaj odbiegamy od zwykłego toru. Zwykle wyznanie winy następuje po dokonaniu zbrodni. Ale tutaj zgłoszono zbrodnię, która jeszcze nie była dokonana.

— Nie wierzę w to!

— A kto lkałby tak długo w telefon, utrzymując połączenie do chwili, gdy policja zdoła odnaleźć numer mówiącego? Gdy odłożył słuchawkę, wiedział że przybędą lada moment.

— Chyba zwariował.

— Nie więcej niż inni ludzie, których życie rozpada się na kawałki. Potem nastąpił makabryczny moment. Położył się obok pani — zemdlonej — na podłodze. Starł ślady swych palców z rewolweru. Włożył rewolwer w pani bezwładną rękę, pani palec oparł na cyngiu. Przyłożył lufę do swojej głowy, ale na cynglu był palec pani. Popełnił samobójstwo ręką pani. Wówczas właśnie zmarł. To był ten drugi strzał, którego pani nigdy nie słyszała.

— Co mam teraz robić — spytała zamierającym głosem.

— Nic. — Teraz to już moja sprawa. Prokurator jest sprawiedliwym człowiekiem. Nie dopuści do tego, aby niewinny człowiek został skazany.

— Nie mam słów — spojrzała na niego.

— Tu nie potrzeba słów. Może pani okazać swą wdzięczność jeżeli przyjmie pani zaproszenie na obiad — o ile będzie pani miała na to ochotę.

Wychodząc z gmachu więziennego pogwizdywał popularną piosenkę. „Gdy człowiek spotka człowieka buszującego w zbożu..."

(oprac. r. w.)

Lewym okiem

ŚLEDZIK POD KONWALIJKĘ...

Chciałbym bardzo — i myślę, że mi się uda — zobaczyć najnowszy program Studenckiego Teatru Satyrycznego STS w Warszawie p.t. „Wódko, wódeczko.." Zachęcił do tego skutecznie „Przekrój" piórem znanej dziennikarki, Wilhelminy Skulskiej. Założeniem programu jest obrzydzenie ludziom nadużywania alkoholu i wskazanie — jeszcze raz, ale ponoć nader wyraziście — na rozpaczliwe skutki popijania.

Bardzo to ryzykowne założenie dla teatru. Ludzie bardzo nie lubią pamiętać o swych słabościach, a tym bardziej — czuć do siebie niechęć, awersję, niesmak. Tym więcej cenię dzielnych młodych ludzi z STS i życzę nieustającej frekwencji aż do tysiącznego spektaklu.

Jednocześnie czytam w „Gazecie Handlowej" projekt stołecznych działaczy handlowych wyższego szczebla, aby dopuścić do sprzedaży alkoholu w kwiaciarniach... To wcale nie żart, to nawet pomysł o mocnej motywacji: kwiaty kupuje się idąc na wizytę, zwłaszcza na wizytę uroczystą, a więc imieniny, rocznicę, weselisko. Często kwiaty są ozdobnym załącznikiem do konkretniejszego upominku. No to oszczędźmy klientowi łatygi, po co ma szukać osobno prezentu, osobno lewkonii — niech to będzie jedna upominkowa branża. A z kolei pomiędzy upominkami niebłahą pozycję zajmują apetyczne flachy z kolorowymi nalepkami, pełnymi egzotycznych nazw. Przyjemnie obdarować szwagra eksportowym jarzębiakiem, wiedząc, że go w naszej obecności odgwintuje i do degustacji dopuści...

Nietrudno sobie wyobrazić, ile nowych kryptonimów zyskają sobie napoje wyskokowe. Tuwimowski „Słownik pijacki" wzbogaci się z miejsca o dwa opasłe tomy suplementów. — „Skocz, Jasiu, po konwalijkę!" — będzie się mówiło między panami. — „Może byśmy coś z oranżerii?" — zapyta ktoś innym razem — „Czas najwyższy na drugi siew", „Nie dajmy zwiędnąć żonkilom" — i tak dalej. Typowa rozmowa „przez kwiatek".

Może by zresztą nikt do kwiaciarni po gołdę nie poszedł, gdyby nie druga część handlowego pomysłu, która powinna być chyba pierwszą i ostatnią. Mówi się mianowicie, że na uroczyste przyjęcia człowiek światowy wybiera się wieczorem. Rzeczywiście. Sam kiedyś kupowałem goździki od kelnera, prosto ze stolika, bo goździki musiały być, a kwiaciarnie zamknięte na cztery żaluzje. Po co komu kwiaty przed południem? Słuszne więc jest, aby godziny handlu w branży kwiatowej były inne niż dotąd, gdzieś od południa do dwudziestej, albo i później. To na pewno. Ale gdyby się z takimi godzinami otwarcia połączyło sprzedaż alkoholu — jestem pewien, że największe obroty wykazałyby kwiaciarnie właśnie po zamknięciu innych sklepów, a ludzie trunkowi tłumnie by z innowacji korzystali. Nawet z warunkiem: „Wódki bez piwonii nie sprzedajemy" — „Dawaj pani pół basa z piwonią..."

Śliczna to branża i trudna. Ryzyko duże, towar grymaśny i bardzo szybko tracący na wartości. W uznaniu tych faktów ceny skalkulowane są tak, że nie tylko pokrywają ryzyko, ale jeszcze nadają kwiatom walor luksusu, co powinny doceniać obdarowywane panie i panienki. Jest w tym atoli jakaś niewspółmierność: kwiaty szybko tracą na wartości, ale niechętnie — na cenie. Piękna, świeżo ścięta róża, ledwie odemknięta, nasycona barwą i zapachem, kosztuje tyleż samo co przedwczorajsza bidula, podpuszczana rozpuszczoną w wazonie aspiryną, okręcona drucikiem, z płatkami rozdziawionymi szeroko, zmiętoszonymi, wiotkimi. Z takiej róży do adresatki dociera niejednokrotnie tylko drucik. Nie istnieją zasady jakichkolwiek bonifikat za kwiaty zwiędłe, przestałe, mniej urodziwe. W takiej sytuacji klient — a w konsekwencji także osoba obdarowana — musi mieć po prostu szczęście, żeby trafić na świeży, pełnowartościowy towar. Jeśli ma pecha, nie pomoże mu nawet znajomość nadzwyczaj uczonej normy, wprowadzonej zarządzeniem bardzo wysokiej władzy, a określającej w odniesieniu do kwiatów ciętych, że:

„łodyga prosta — jest to łodyga bez skrzywień.

łodyga wiotka — jest to taka łodyga, która trzymana dwoma palcami w połowie długości odchyla się od linii prostej pod kątem większym niż 30°."

Odchyla się, a cena ani drgnie. Żaluzje spadają o osiemnastej. Chcecie kupować kwiaty później? Chcemy. Bez wódki.

ĆWIEK.

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 454 III. B-4.